Nr. 32. Poznań, dnia 11 Sierpnia 1907 r. Rok XI.

Abonament wynos kwartalnie na poczcie . 1,5 z odnoszeniem do domu . . 1,6 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 33. Telefon Nr. 1165. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

W sprawie podręcznika
do nauki polskiej w domu.

Szanowna Redakcyo!

W sprawie podręcznika pozwalam sobie przesłać kilka uwag, w nadziei, że znajdzie się większa liczba osób dobrej woli, które zabiorą głos w tej arcyważnej sprawie.

Ze względu na naglącą potrzebę i znaczenie dobrego podręcznika koniecznem jest, aby na wydanie tej książki złożyła się wspólna praca osób doświadczonych i (poczęści) fachowych.

W uboższych rodzinach podręcznik taki służyć powinien *nietylko młodszym dzieciom do nauki, ale i starszym do rozrywki*, przeto pożądanem jest, aby posiadał treść *bogatą, urozmaiconą, przystępną, interesującą*, a zawsze ożywioną ciepłem tchnieniem szczerego patryotyzmu.

Ztąd wynika, że objętość tej książki byłaby dosyć znaczna i że wypadałoby może podzielić ją na 2 lub 3 tomy. W ten sposób ułożył swój podręcznik czcigodnej pamięci Estkowski.

Książka ta może w niektórych punktach służyć za wzór naszemu podręcznikowi. W ogóle jednak nie zupełnie odpowiada dzisiejszym wymaganiom pedagogii i obecnym stosunkom, nie mówiąc już o niektórych usterkach naukowych.

Na wstępie książki umieszczony alfabet zapozna dzieci z brzmieniem liter pojedyńczych i połączeniem liter naszemu językowi właściwych: rz, ż, sz, cz, ś, ć, ń, ą, ę, ł.

Potem zaraz można przystąpić do składania wyrazów i zdań stanowiących logiczną, zamkniętą całość.

Pierwsza część podręcznika powinna od razu dawać dzieciom łatwe, krótkie, zręcznie ujęte powiastki, albo opisy rzeczy znanych n. p. zwierząt domowych. Początkowe ćwiczenia, jakie się znajdują w elementarzach, składające się z pojedyńczych wyrazów n. p. mama, wino, mowa, lipa, ława nudzą i męczą dzieci, bo nie wzbudzają w nich najmniejszego zainteresowania. Jeżeli jeszcze osoba ucząca jest leniwą lub mało inteligentną i nie ożywi jednostajności tych ćwiczeń pytaniami, opowiadaniem, albo małym wierszykiem, wtedy lekcya czytania małemu uczniowi żadnej prawie nie daje korzyści ani rozrywki.

O to zaś bardzo nam chodzi, aby dzieci brały się do nauki ojczystego języka z całą ochotą, aby z każdej lekcyi wynosiły miłe, ożywcze wrażenie i zaciekawione zostały do lekcyi następnych.

To zadanie spełnić musi nasza książka, co nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, gdy zważymy, że ona znajdzie się często (i najczęściej!) w ręku osób fachowo nieuzdolnionych, u których dobra wola zastąpić musi umiejętność.

Nie trzeba sądzić, że takie kawałki są zbyt trudne dla początkujących. Ciekawość i wrażliwość dzieci dodaje im chęci i wytrwałości. Oczywiście trzeba dłużej się zatrzymać nad jednym kawałkiem, a dla ożywienia lekcyi ucząca osoba może sama przeczytać powiastkę nową.

Powiastki i krótkie opisy powinny być przeplatane wierszykami, których dzieci tak łatwo się uczą.

Ćwiczenia pamięciowe bardzo ważną odgrywają rolę w nauce ojczystego języka, gdyż one to właśnie nadają wprawę w wyrażeniu, uczą dzieci nowych, nieznanych wyrażeń.

Wiemy wszyscy niestety, że skutkiem nieszczęsnego systemu szkolnego dzieciom naszym brak łatwości w wyrażeniu myśli, jak twarda jest ich wymowa i styl niezręczny. — Tym niedomaganiom może zapobiedz tylko czytanie i uczenie się na pamięć *wyborowych powieści i opisów*.

Kładę nacisk na przymiotnik *wyborowy*. Ważnem jest bowiem i koniecznem, aby podręcznik do nauki języka ojczystego zawierał tylko rzeczy najlepsze, najstaranniej opracowane — w myśl pedagogicznej zasady: „dla dzieci tylko to dosyć dobre, co najlepsze.“

Łatwiej zaiste napisać niezłą powieść lub zręczną nowellę, niż dobry podręcznik do nauki!

W drugiej części podręcznika powinny się znajdować powiastki trudniejsze, dłuższe opisy zwierząt i roślin mniej znanych, wiadomości popularne z dziedziny wynalazków i opowiadania historyczne w formie powieści. Takie pojedyńcze obrazy, zwięzłe, jasne i barwne zapoznawają dzieci z wybitnemi postaciami naszych królów i wodzów; rzucają jaśniejsze światło na daną epokę.

Mają więc bez porównania większą wartość pedagogiczną, niż chronologicznie podawane daty, fakty i imiona.

Tu należałoby zgromadzić jak najwięcej rysów pięknych i charakterystycznych, jakie nam historya zachowała o sławnych mężach i kobietach; wesołe o nich anegdotki i dowcipy, ukazać ich nietylko na arenie publicznej, ale i w życiu domowem.

Osobne opowiadania możnaby poświęcić charakterystyce naszego narodu, jego cnotom i wadom, dawnym zwyczajom i obrzędom i tym, które zaginęły w pomroce przeszłości i takim, które przeszły do naszych czasów, choć w odmiennej nieco formie.

Nie możnaby także ominąć stosunków ekonomicznych naszego kraju, a więc handlu, przemysłu, bogactw naturalnych n. p. kopalni soli, srebra, węgla i t. d.

Te opisy, objaśnione ilustracyami*) dałyby uczniom nietylko pewną sumę wiadomości o kraju ojczystym, ale i zasób wyrazów używanych w języku technicznym i zawodowym, wyrazów tak mało znanych naszej młodzieży.

Toż samo powiedzieć można o nazwach geograficznych, których Polak mniej wykształcony nie zna wcale i posługuje się wyrazami niemieckiemi.

Trzecia część podręcznika powinna zawierać wzory stylu znakomitych pisarzy, a mianowicie wyjątki z dzieł Długosza, Reja, kazań Skargi i t. d., jako też urywki z celniejszych utworów poetyckich. Te ostatnie powinny być podane w takiej obfitości, aby osoba średniego wykształcenia, nie poświęcająca wiele czasu umysłowej pracy, miała jasny i trafny pogląd na ogólny stan naszego piśmiennictwa.

Krótkie życiorysy i portrety autorów powinny koniecznie uzupełniać i objaśniać ich dzieła.

Potrzeba takiej książki dotkliwie czuć się daje w nauce języka, tym więcej, że dobre i bardzo cenione książki: Cegielskiego Wypisy, Mecherzyńskiego Wzory prozy nie doczekają się pewnie nowych wydań i dziś już stają się rzadkością księgarską.

Należy je koniecznie zastąpić książką nową, która ich zalety łączyć powinna z charakterem więcej postępowym i ściśle do naszego położenia zastósowanym.

Jeżeli, o czem nie mamy powodu wątpić, uda nam się ułożyć taki podręcznik, wtedy stałaby się ta książka nader cennym środkiem nauki i wychowania w duchu narodowym. Pogłębiłaby i rozszerzyła te skąpe niedokładne i często niestety fałszywe wiadomości, jakie młodzież nasza czerpie w szkołach, posunęłaby znacznie naprzód sprawę samopomocy naukowej, traktowanej tak dziwnie lekko, dorywczo i nieumiejętnie i stałaby się w całem znaczeniu katechizmem narodowym.

M. G.

*) Ilustracje są koniecznym warunkiem dobrego podręcznika. Najwięcej rozumny opis bez ilustracji nie jest w stanie dać dokładnego wyobrażenia o przedmiotach tak skomplikowanych jak n. p. maszyna, kopalnia, fabryka i t. d.

O cześć wam, panowie magnaci!

Gdy słyszę piosnkę tę, zawsze mam żal do jej autora za budzenie tak strasznej nienawiści klasowej. Nie podobna nam dziś wypominać sobie błędów i grzechów z przeszłości po to jedynie, ażeby za winy ojców czynić odpowiedzialnymi synów, lub za nieszczęście sprowadzone na nas przez dawne pokolenia szlachty i magnatów, winić ich dzisiejszych potomków.

A jednak, nie podobna o tych winach zapominać, nie podobna pokrywać przeszłości milczeniem biernej pobłażliwości. Raczej wytykając te błędy należy wskazać, jak wielkie szkody przyniosły one *narodowi*, społeczeństwu, ażeby przez przypomnienie ogromu i ciężaru odpowiedzialności odstraszyć od popadania w te same błędy, od zadawania społeczeństwu nowych ran, nowych bólów, nowych ciosów.

W roku 1893 sprzedał Nepomucen Niemojowski *Pogrzybowo* z folwarkami, tuż pod *Raszkowem*, obszaru 2684 ha (10,736 mórg) za 1667,600 mk. komisyi kolonizacyjnej.

W roku 1898 sprzedał hr. Arnold Skórzewski *Raszkówek* z folwarkami kilkoma, także tuż pod Raszkowem, obszaru 1448 ha (5792 morgi) za 1250,000 mrk. — także komisyi kolonizacyjnej.

Pierwszy wyniósł się do Galicyi — drugi do Paryża.

A cóż po nich pozostało?! — Posłuchajmy, co o tem piszą z Raszkowa pod datą 31-go lipca b. r. do „Posener Tageblattu," tutejszego hakatystycznego i zarazem policyjnego organu:

„O czynności komisyi kolonizacyj-

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

56) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Na okrzyk:

— Do broni, bracia, ojczyzna was wzywa! — zbiegła się czeladź rzemieślnicza i biedna ludność z Nadwiśla, chwytała za broń i stawała w szeregach pod dowództwem Bronikowskiego. Ten dzielny człowiek pouwalniał już więźniów politycznych i zaaresztował wielu jenerałów i oficerów rosyjskich, biorąc ich z przedstawienia w teatrze i mężnie dowodził w bojach rozlicznych, w których walczyło wiele ludu, a wśród niego z największą energią potykały się kobiety.

W zgiełku i zamieszaniu powstania zabitych zostało kilku opierających się generałów, między nimi znienawidzony minister wojny Hanke i przypadkowo ugodzony Stanisław (Staś) Potocki.

Nazajutrz o 6-ej rano pułki rosyjskie uderzyły jeszcze raz na powstańców ,lecz odparte i przez lud naciskane zaczęły się mieszać.

W. książę Konstanty przerażony już napadem na Belweder, tracił zupełnie głowę i drżał ze strachu jak liść, wzięcie arsenału i broni dobiło go do reszty.

— Panowie, ani jednego strzału — zawołał do oficerów, którzy go otaczali i do działania zachęcali. A do siebie dodał:

— Ja muszę myśleć o własnem ocaleniu!

I z pozostałem przy nim wojskiem rosyjskiem i polskiem cotnął się i stanął najprzód w Alejach, a potem opuścił Warszawę i zatrzymał się pod Wierzbnem, powstańcy zaś stali pod arsenałem.

Dziwnie więc rozpoczęło się to powstanie listopadowe. Ludzie młodzi, nieznani, bez doświadczenia, ale obdarzeni niesłychaną odwagą i chęcią bohaterskiego poświęcenia się, nie przygotowawszy się należycie, chwycili za broń z szalonym planem pokonania strasznej potęgi Rosyi, z myślą porwania za sobą całego narodu. I pod tym ogromem zapału i odwagi drgnął naród cały, przejął się tem młodzieży bohaterstwem, a wnet jednomyślne zdanie rozległo się po kraju całym:

— Powstanie wybuchło i my wszyscy z młodzieżą złączyć się musimy!

Powstanie objęło też niebawem kraj i naród cały, a uczucie i myśl była powszechna, że, aby ocalić byt Królestwa, nie było innego wyjścia nad powstanie, do którego zamach Podchorążych był tylko hasłem nieoczekiwanem lecz pożądanem. Na naczelnego wodza tego rozpoczętego powstania powszechny głos narodu powoływał jedynego godnego w kraju męża. Był to generał Józef Chłopicki. Ale on nie miał nadziei, aby to powstanie udać się mogło i w tych dniach wybuchu tak się ukrył, że go nie można było znaleść[1]).

3. *Zmiany rządu w Warszawie.*

Powstańcy nie ustanowili nowych rządów, bo oprócz wypędzenia Moskali nie mieli nawet żadnego ściśle oznaczonego planu działania. Więc mężowie wybitni polscy, bawiący w Warszawie, jak książęta Czartoryski i minister

[1]) Lewicki, 432—436; Sokołowski IV, 1510 i nast.; Limanowski 137 i nast.

nej" — brzmi obiecujący napis i tak opiewa: Czynność komisyi kolonizacyjnej w tutejszej dawniej prawie czysto polskiej mieścinie i okolicy przyniosła niemczyźnie piękne owoce. Przeszło 22 tysiące morgów ziemi zostało rozparcelowanych pomiędzy niemieckich kolonistów. Z pośród 15 włości obu wielkich majątków Raszkówka i Pogrzybowa, które komisya kolonizacyjna nabyła od dwóch polskich magnatów hr. Skórzewskiego i Niemojowskiego, wszystkie już są skolonizowane prócz jedynego Walentynowa. Rozdzielenie tego ostatniego przewidziane jest na przyszły rok. Pomiary już są dokonane. Koloniści pochodzą z zachodnich Niemiec, z Rosyi i z powiatu nowo-sądeckiego w Galicyi. Do największych wsi zaliczyć należy Raszkówek i Pogrzybów. W dawnym pałacu w P. urządzono dwuklasową szkołę oraz zakład kuchenno-gospodarczy, w którym osobna nauczycielka udziela nauki i wskazówek córkom kolonistów. Do zakładu tego uczęszczają szczególnie córki kolonistów pochodzących z Galicyi i Rosyi. Nowo utworzone wsie osadnicze, które *szczelnie niemal zamkniętym kołem otaczają nasze miasto*, mają wspólny, nowo i pięknie wybudowany zbór w Raszkówku. Stary kościółek (ewangielicki) w Raszkowie ma być przemieniony na lazaret. Bite, częścią nowe drogi stanowią wygodną komunikacyę pomiędzy niemieckiemi osadami a okolicą. Pod względem gospodarczym koloniści robią postępy. *Żyzne* (!) pola obiecują im i (!) w tym roku bogaty (!) plon. *Nic dziwnego, że kolonistom na kresach wschodnich się podoba.* Do pewnej rodziny osadniczej zwróciłem się z prośbą, by mi na kilka pytań odnoszących się do tego przedmiotu udzieliła odpowiedzi. Z rozradowaną miną opowiadała mi żona: — Mieszkaliśmy przedtem pod Kaliszem w ruskiej Polsce; pracowaliśmy ciężko i niceśmy nie mieli. Tutaj natomiast mamy piękną posiadłość. A nadto musieliśmy w Rosyi co roku udawać się przez granicę do Niemiec, ażeby pod naszym niemieckim cesarzem szukać jeszcze chleba! — A mąż jej dodał uzupełniająco: a dzieci nasze zostaną uchronione od zgłupienia! Także i w mieście naszem niemczyzna robi postępy: jeden dom towarowy, apteka, hotel polski „Concordia" przeszły w ręce niemieckie. Do hotelu dobudowana zostanie sala. Hotel zmieniony zostanie na „dom towarzyski." Także staramy się o osiedlanie się niemieckich rzemieślników."

Gdym przeczytał tę wiadomość, gdy przez mózg mój przebłysła świadomość, że to są skutki niegospodarki dwóch magnatów polskich, którzy dziś jak tchórze umknęli z ziemi swojej, wtenczas przypomniał mi się ów nienawistny okrzyk: o, cześć wam panowie magnaci! — Przypomniał mi się, pomimo, że nienawiść klasową uważam za zdrożną, że nigdy nie przyłożyłem i nie przykładam ręki do jej budzenia. Przypomniał mi się odruchowo, pomimowolnie, a gdy zadałem sobie pytanie: dlaczego? — na to jedną tylko znalazłem odpowiedź: że to odruchowy przebłysk nienawiści do wszystkich, którzy naród nasz krzywdzą, bez względu na to, skąd ich kolebka, i jaka ich szata.

I przypomniała mi się wobec tego myśl nie nowa, ale którą nie dość przypominać warto, myśl, która mnie oddawna prześladowała, z którą łamałem się niejednokrotnie, myśl, która wobec tego opisu uderza mnie siłą swoją i jasnością; że: *nie należy z jakichbądź względów czyimśkolwiek pobłażać błędom, jeżeli przez błędy te szkody wynikają dla ogółu, dla społeczeństwa, dla narodu!*

W naszych warunkach nienormalnych, gdzie nie milkną głosy, że wobec naporu wroga własnym błędom pobłażać należy, bo chodzi nam o *każdą* jednostkę stającą w naszym szeregu do obrony, trzeba te zdania z całą mocą słowa i przekonania głosić i szerzyć.

---

skarbu Lubecki zaczęli między sobą radzić:

— Jest naszym obowiązkiem ująć całą sprawę w nasze ręce! Ale pomimo wszystkiego, co się stało, nie zrywajmy jeszcze z Rosyą, a próbujmy załatwić rzecz w dobry sposób i może uzyskamy nawet koncesye![1])

Pozostał więc rząd dotychczasowy t. j. *Rada Administracyjna*, która zebrała się zaraz w nocy i powołała do swego grona Adama ks. Czartoryskiego, Michała ks. Radziwiłła, Mich. Kochanowskiego, Ludw. hr Paca, J. U. Niemcewicza i generała Józ. Chłopickiego.

Ale będący w Warszawie posłowie sejmowi zaczęli zaraz sarkać:

— Usuńmy z nowego rządu tych tak bardzo niepopularnych ministrów!

I tak się stało. Nazajutrz w miejsce owych ministrów powołano do rządu: Leona Dembowskiego, Gustawa Małachowskiego, Wład. Ostrowskiego i Joachima Lelewela.

Wypadła więc władza z rąk powstańców, a z przekształconej Rady Administracyjnej utworzył się rząd nowy t. zw. *Wydział Wykonawczy* pod przewodnictwem ks. Czartoryskiego.

Z utworzeniem nowego rządu zapanował w Warszawie pewien spokój i ład. Ukazała się odezwa do narodu zawiadamiająca o położeniu spraw i o utworzeniu się nowego rządu. Wodzem tymczasowo zamianowany został Pac, dopóki nie pokazał się Chłopicki, który naczelne dowództwo przyjął i objął (1-go grudnia). Prezydentem został Stan. Węgrzecki, wiceprezydentem Tom. Łubieński, gubernatorem Warszawy, Sierawski. Powołano całą ludność męską od lat 18 do 45 do gwardyi narodowej zwanej *Strażą Bezpieczeństwa*, a dowództwo nad nią objął Piotr Łubieński. Zebrały się rady wojewódzkie i młodzież akademicka ze swymi profesorami, a profesor filozofii Lach-Szyrma na czele zorganizowanego oddziału młodzieży stanął pod arsenałem i dopomagał w utrzymaniu bezpieczeństwa i porządku.

Nie ulega wątpliwości, że były przychylne powstaniu tak wojsko, jakoteż ludność miejska i wiejska.

Na imię ojczyzny wiejski lud z rozrzewniającym zapałem spieszył z kosami, żelazem rolniczem na wojenne zamienionem, — pisze przeciwny powstaniu Andrz. Koźmian. Gdy Michał Jackowski w swojej wsi Dębe Wielkie przemówił do gminy o rozpoczętej walce z wrogiem, „w przeciągu 24-ch godzin przeszło 1600 ludzi z różnem uzbrojeniem stanęło gotowych do boju za ojczyznę.[2]) A gdy Chłopicki wyjechał z Warszawy do Modlina, wszędzie po drodze witali go włościanie z uniesieniem i wołali:

— Gotowi jesteśmy do zawziętej walki przeciwko najezdzcom!

Jednakże na wzór rewolucyjnych klubów francuskich utworzył się niebawem w Warszawie klub,[3]), który miał przedstawiać lud warszawski, a który nazwał się *Towarzystwem Patryotycznem*. W klubie tym, w którego skład

[1]) *Koncesya*, z łac. przyzwolenie, nadanie komuś zwłaszcza przez rząd pozwolenia na jakie przedsiębiorstwo; ustępstwo.

[3]) Według pamiętnika Mich. Jackowskiego, właściciela wsi Dębe Wielkie (niedaleko Warszawy w powiecie Nowomińskim).

[4]) Klub, z angielsk., towarzystwo złożone z pewnej liczby członków, także miejsce, gdzie stale zbiera się to towarzystwo. Kluby wzięły swój początek w Anglii, a rozszerzyły się po całym świecie, jak np. kluby myśliwskie, literackie, artystyczne, polityczne. W czasie rewolucyi francuskiej najsłynniejszym był Klub Jakobinów.

Cóż nam w szeregach naszych po obrońcach, którzy w danej chwili jednak okażą gotowość popełnić zbrodnię na społeczeństwie? — Czyż pod innym kątem widzenia wogóle możnaby sądzić o hr. Skórzewskim z Raszkówka, albo o Niemojowskim z Pogrzybowa i tylu im podobnych?

Przechwałki korespondenta „Pos. Tagebl.“, wszelkiej pobłażliwości, wszelkiemu usprawiedliwianiu i tłómaczeniu — kładą tamę, krzywd narodu tłómaczyć i usprawiedliwiać nie można. Krzywdy pozostaną krzywdami, i krzywdzicielom tylko potępienie się należy.

Ale można dociekać przyczyn tych krzywd. Brak patryotyzmu, brak poczucia godności narodowej nie wszystko wytłómaczą. Będzie to w jednym razie obok tego chęć zbogacenia się kosztem niesławy nawet, w drugim — skutek wstrętnego egoizmu, brak poczucia spólności z narodem, najczęściej rozrzutność i niegospodarność. Istotnie tak hr. Skórzewski jak Niemojowski tylko dzięki tej ostatniej przyprowadzeni zostali nad przepaść, po za którą jest hańba, jako następstwo zdrady narodu.

Jest dziś pod tym względem wśród szlachty naszej daleko lepiej aniżeli było lat temu kilka lub kilkanaście. Pomimo tego nie wolno nam tak od razu przepadać w drugi kraniec opinii i już począć chwalić to co jest.

Do tej chwały jeszcze daleko! Przodująca w społeczeństwie naszem i wykształceniem i starożytnością swej kultury szlachta ma jeszcze dużo wad. A choć wiele wśród niej się poprawiło, to jeszcze wiele pozostaje do naprawy.

N. p. nie zaprzeczam, że szlachta w dobrem zrozumieniu swojego i narodowego interesu naszego dość silnie dziś trzyma się ziemi, ale też prócz uprawiania tej ziemi: co jeszcze — pytam — robi dla społeczeństwa?

Nie wiele by tego było. A to co jest, jest tego rodzaju, że nie narusza tak miłego spokoju domowego, nie obowiązuje do czynnego udziału w trudach i mozołach reszty społeczeństwa.

Przypomnę tylko „Straż!“ „Straż“ właśnie dobitnie dowodzi, jak szlachta pojmuje swój patryotyzm: myśmy się naprawili, uznajcie to za naszą *zasługę* — i więcej od nas nie żądajcie!

Nie! na naprawie samych siebie nie koniec. Trzeba nie tylko starać się naprawić samych siebie, ale także *zmazać winy przeszłych pokoleń!*

Inaczej — postęp niemczyzny jak w okolicy Raszkowa mimo nawet widocznej naprawy pójdzie wciąż naprzód i jednak w końcu nas przemoże.

Dobry gospodarz nie po to zbiera siły, by je w sobie chować, lecz po to, by zdobywać nowe pola do pracy.

Dziś, gdy wśród szlachty naszej jest lepiej, a szczególnie wobec smutnych faktów, jakie trzeba nieraz przypominać, trzeba też i domagać się, ażeby szlachta z swych wygodnych pieleszy się dźwignęła do pracy iście narodowej, do naprawy grzechów i win ojców i praojców swoich.

Smutne wieści, jak ostatnia z okolicy Raszkowa, obowiązek ten przypominają dobitniej, aniżeli najgorętsze słowa zachęty.

Sine ira et studio.

Idzi Switała.

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 5-go sierpnia 1907.

Wypadki w Rosyi nie sprawdziły naszych nadziei, w naszem położeniu politycznem nic się zasadniczo nie zmieniło, niemniej przeto zyskaliśmy w ciągu dwóch lat ostatnich cały szereg zdobyczy. Przyzwyczailiśmy się już do wielu zmian i nie odczuwamy różnicy między warunkami temi, które są obecnie, a tem co było jeszcze przed dwoma laty. Jeśli się głębiej zastanowimy, to dużo się zmieniło.

Nie będziemy tutaj wyliczali zmian, jakie zaszły, czytelnik przekona się je-

---

wchodzili ludzie różnych stanów i usposobień, rządzili *radykaliści*[1]), głowy zapalone, jak wielce uzdolniony autor historyi tego powstania Maurycy Mochnacki, lub też krzykacze, jak Adam Gurowski; prezesem tego klubu został Lelewel, który był członkiem rządu.

Pod tegoż Lelewela i Mochnackiego przewodem moralnym a pod Ksawerego Bronikowskiego przewodem widomym pozostawał klub ten, wchodził w zatargi z rządem, chciał nad nim wykonywać kontrolę i sam władzę w swe ręce ująć. I właśnie teraz, kiedy w narodzie była potrzebna jak największa zgoda i jedność, powstawały groźne zaburzenia, gdy klubiści zwoływali zgromadzenia ludu, podniecali go i rozdrażniali namiętnemi mowami.

Tymczasem przerażony w. ks. Konstanty przebywał w Wierzbnie w chacie ogrodnika. Przestrach jego ucichł się jednakże niebawem, gdy po dwakroć zjawiła się u niego deputacya polska złożona z Czartoryskiego, Lubeckiego, Ostrowskiego i Lelewela i w układy z nim wchodzić poczęła. Wreszcie Konstanty zgodził się na następujące życzenia deputacyi:

— Wstawię się u cesarza, ażeby poręczone zostały ustępstwa dla narodu polskiego, jak amnestya, ubezpieczenie przed niespodziewanym napadem i przyłączenie Krajów Zabranych!

A za radą Lelewela dodał jeszcze:

— Wraz z wojskiem rosyjskiem opuszczę zaraz Królestwo Polskie!

Skoro tylko wieść o toczących się tych układach z Konstantym rozniosła się po Warszawie, spiesznie zebrał się klub w salach redutowych w liczbie 1000 ludzi i po namiętnych mowach i krzykach wybrał deputacyę i wysłał ją z protestem do rządu. Deputacya ta wraz z tłumami ludu wcisnęła się na posiedzenie rządu i gwałtownie żądała:

zerwania układów z Konstantym;

zatrzymania go jako rękojmi;

ogłoszenia zdrajcami kraju tych wodzów polskich, którzy z powstaniem jeszcze się nie połączyli;

przyjęcia w skład rządu kilku wybranych członków Klubu.

Pod tym naciskiem ustąpili więc z rządu ostatni dawni ministrowie a przyjęci zostali nowi członkowie z klubu: Ksawery Bronikowski, Andrz. Plichta, major Machnicki i Maurycy Mochnacki. Rząd ten nazwał się *Rządem Tymczasowym.*

Teraz Chłopicki wydał rozkaz, aby wojska polskie przybywały do stolicy, a zbrojny lud warszawski podsuwał się już pod obóz Konstantego; wobec tego pozwolił on wreszcie wojskom polskim przy nim będącym wrócić do Warszawy, za co zabezpieczono mu swobodny odwrót z granic Królestwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) *Radykalism*, z łac. jestto w polityce działanie stronnictwa, które dąży do zupełnej, „od korzenia“, a gwałtownej zmiany istniejącego stanu rzeczy i w tym celu w środkach nie przebiera. Zwolennicy takiego działania nazywają się *radykalistami* lub *radykałami*. Takimi są: anarchiści, nihiliści.

dnak, że zdanie nasze jest słuszne, gdy tylko przypomni sobie, że do niedawna nie mieliśmy prawa stowarzyszania się, obecnie zaś je posiadamy. Dawniej by jakiekolwiek stowarzyszenie założyć, trzeba było się udawać po pozwolenie do ministeryum do Petersburga, a minister bardzo niechętnie pozwoleń udzielał, bo istniało przekonanie, że wszelkie stowarzyszenia polskie są niebezpieczne i że w każdem będzie uprawiana polityka. Istniało więc towarzystw bardzo mało, a cały szereg podań o nowe stowarzyszenia ciągle odrzucano.

Kto wie, ile korzyści przynoszą kółka rolnicze, stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze, stowarzyszenia spożywcze i t. p., ten łatwo zrozumie, ile dobrego może przynieść społeczeństwu wolność zakładania stowarzyszeń. To też gdy 4 marca r. 1906-go wyszło prawo o stowarzyszeniach, skwapliwie rzucono się w Królestwie do ich organizowania. Wiele ważnych i dla narodu niezbędnych stowarzyszeń powstało w ciągu ostatniego roku, a rozwój ich niezwykły świadczy z jednej strony o żywotności naszego narodu, z drugiej zaś oddaje nieocenione usługi kulturze naszego kraju. Teraz trudno nam już zrozumieć jak mogliśmy tak długo istnieć, będąc pozbawionymi tak ważnego narzędzia pracy. Będziemy mieli sposobność w przyszłości pisać o rozwoju i stanie różnych stowarzyszeń, dziś pragnę podać nieco wiadomości o *Centralnem Towarzystwie Rolniczem* czyli o organizacyi skupiającej wszystkich rolników w całem Królestwie polskiem.

Do roku bieżącego organizacyi takiej nie posiadaliśmy, bo rząd na nią zgodzić się nie chciał. Istniały tylko Towarzystwa rolnicze w każdej z dziesięciu gubernii, a do nich należeli tylko więksi właściciele. Dla gospodarzy drobnych założono kilkanaście spółek w kraju, ale te spółki rozwijały się bardzo powoli, bo ustawy dla nich nie było, działały więc pod pozorem spółek handlowych. W Warszawie zaś przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu istniała sekcya rolna, w której zbierali się raz na miesiąc rolnicy nasi na narady. Tymczasem rolnictwu poświęca się i żyje z niego znaczna część ludności. Rząd nic nie robi, by pomódz w rozwoju gospodarstwa wiejskiego, nie mamy tu ani Izb rolniczych, ani stacyi rozpłodników, ani stacyi doświadczalnych, ani szkół, ani nic podobnego. W takich warunkach nie pozostaje rolnikom nic innego, jak skupiać się i własnemi, zbiorowemi siłami sobie pomagać.

Skwapliwie też zabrali się co najwybitniejsi nasi rolnicy do dzieła, ułożyli ustawę Centralnego Towarzystwa Rolniczego, zaregestrowali ją 1 dnia 12 marca r. b. zwołali pierwsze posiedzenie Rady Głównej nowego stowarzyszenia. Tymczasem w całym kraju zaczęły powstawać Towarzystwa rolnicze powiatowe i Kółka rolnicze wiejskie.

Centralne Towarzystwo jest jakby związkiem wszystkich Towarzystw powiatowych i Kółek, bo doszli tutaj do przekonania, że trzeba wszystkich gospodarzy rolnych wielkich i drobnych złączyć w jednem stowarzyszeniu, bo wszyscy jednakowe mają interesy. Nie podobało się to różnym warchołom, którzy radzi z ludu własną korzyść dla siebie wydobyć, chcieliby temu ludowi przewodzić schlebiając mu, próbowali więc Kółka od Towarzystwa Centralnego odsunąć, ale zamiar ich spełzł na niczem. Zwołani na dzień 11-ty grudnia r. z. przedstawiciele około 300 Kółek z całego kraju do Warszawy jednomyślnie postanowili, że Kółka powinny również do ogólnego Towarzystwa przystąpić.

Urządzono sprawę w ten sposób, że członkowie Kółek mogą się zapisywać na członków Towarzystwa okręgowego (czyli powiatowego), prócz tego zaś do towarzystwa należą wszystkie kółka w powiecie. Przy zarządzie tow. zaś jest osobny *wydział kółek rol-*

Joachim Lelewel.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Stanisław August Poniatowski 1797 roku z Grodna przyzwany do Petersburga, tam się na dokończenie życia przeniósł. Grał on niepospolitą w dziejach narodu rolę, bo wszystkiemu był obecny, wszystko podpisywał i wszystkie niedole narodu pieczętował. Przez całe trzydziestoletnie panowanie, był w niegodnym, trudnym, przykrym i smutnym położeniu, tak jak cały naród i każdy osobno obywatel; doznawał przeszkód i przeciwności losu z całym narodem, równie jak każdy Polak. Życzył narodowi i ojczyźnie jak najlepiej, równie jak życzyli najcnotliwsi obywatele i ci zaślepieni zapamiętalcy, co odchylając się od sprawy powszechnej, zdradzali ją. Był czułym, bolał nad nieszczęściami równie jak wszyscy ojczyznę miłujący, i ci, co wydając ją w cudze nieprzyjacielskie ręce, na zawód i stratę narzekali, a gdyby się utrzymała, o swój los się lękali.

Każdy Polak był nieszczęśliwy i król z nimi nieszczęśliwy być musiał, całego narodu i każdego z osobna los godzien był litości i król był godzien politowania. Lecz jeżeli poczciwy obywatel, obowiązków dopełniający i cnotą swą zaspokojony, zasługuje na czułość; z prawej drogi schodzący, budząc swą litość przykre i gorzkie sprawia wrażenie.

* * *

Z tych ulotnie przytoczonych myśli Lelewela można poznać jak on sercem gorącem — historyę Ojczyzny rozpatrywał i jak dokładnie każdy rys odmalowywał. Zacna i szlachetna dusza tego człowieka odbija się w jego pracach, jak jasność w wodzie krynicy.

19.

Lelewel przez 28 lat mieszkał w Brukseli...

Trzydzieści lat przeżył na wygnaniu.

A lata te były ciągłą, zmudną i wytrwałą pracą.

W maju 1861 roku już zdrowie biednego pracownika zaczęło gasnąć.

Dowiedzieli się o tem przyjaciele Lelewela i pospieszyli do Belgii, ażeby staruszka odwiedzić.

Doktor Gałęzowski i p. Januszkiewicz z Paryża przyjechali do Brukseli i zaopiekowali się staruszkiem.

Zastali go bardzo osłabionego, tak, iż myśleli, że do kilku godzin skończy. Ale gdy zaczęli gwarzyć, wspominać dawne wileńskie czasy, wtedy jeszcze w duszy zmęczonego starca roztlił się ognik radości i siły wróciły...

Gawędził, śmiał się, wspominał Wilno i Warszawę, o wieści nowe wypytywał. A wieści były i smutne i pełne otuchy, bo już to się zbliżał rok 63 i nowe dążenia objawiały się w narodzie. Wiedziano za granicą, iż się duch narodu dźwiga, wzmacnia i do obrony praw wzywa...

Wśród rozmów żywych i weselszych pokrzepił się Lelewel. Wtedy go poprosił Gałęzowski, ażeby pojechał z nim do Paryża.

Trochę się pracowity staruszek wahał, żal mu było izdebki, do której przywykł, żal ksiąg i papierów, przy których lat tyle przesiedział, ale przyjacielskie namowy zwyciężyły.

Pojechał.

niczych, składający się z przedstawicieli kółek — po 2 od każdego kółka. Ten wydział wybiera z pośród siebie zarząd z kilku osób, który prowadzi wszelkie sprawy, dotyczące kółek i drobnych własności. Delegaci znów od Wydziałów przy Towarzystwach okręgowych (po 2 od każdego) tworzą Wydział kółek rolniczych przy Towarzystwie Centralnem, który ma swój zarząd główny z 6 osób złożony. Zarządy powiatowe, to jak wicepatron kółek, a Zarząd Główny to jakby patron wszystkich kółek w kraju.

Towarzystwo Centralne rozpoczęło swą działalność 12 marca zjazdem Rady Głównej, czyli delegatów od Towarzystw okręgowych; na tem zebraniu wybrano komitet główny tow., na którego czele stanął z założycieli C. T. R. Stanisław Chełchowski z Chojnowa. Niestety wkrótce potem ten dzielny obywatel zmarł nagle, wybrano więc na jego miejsce ks. Seweryna Czetwertyńskiego, a na wiceprezesów Maryana Kiniorskiego i Stanisława Chancewskiego.

Centralny wydział kółek rolniczych rozpoczął swą działalność dnia 15-go maja r. b., w którym to dniu zjechali do Warszawy przedstawiciele Wydziałów kółek przy Tow. okręgowych, reprezentujący blisko 500 kółek i wybrali swój zarząd główny, do którego weszli: 2 większych właścicieli — Leon Hempel i Stanisław Czekanowski, dyrektor stacyi doświadczalnej w Sobieszynie, Stanisław Leśniowski i trzech gospodarzy drobnych — J. Kucharek z łowickiego, Jan Łaszcz z lubelskiego i Konstanty Długoborski z łomżyńskiego.

Obecnie do C. T. R. należy już 25 Towarzystw okręgowych i około 500 kółek.

Czas teraz na pracę dla rolników od kilku miesięcy najmniej odpowiedni, bo praca w polu wymaga ciągłej ich obecności, pomimo to zarząd wydziału kółek krząta się energicznie. W czerwcu urządzono wycieczkę 60 członków kółek do Galicyi; każde Tow. okręgowe wysłało swych delegatów, którzy po powrocie zdali dokładnie sprawę z tego co widzieli. Zajął się dalej Wydział sprawą walki z chorobami świń, zorganizowaniem doświadczeń nawozowych, sprawą ubezpieczeń ruchomości od ognia, wreszcie od 1-go września zamierza wydawać pismo p. t. „Przewodnik kółek rolniczych,“ w którem omawiane być mają sprawy gospodarcze i sprawy kółek.

Z ukończeniem zbiorów i siewów praca w C. T. R. i w wydziale kółek ruszy się na dobre, a praca ta niezmiernie potrzebna, bo niesłychanie wiele mamy do zrobienia na polu podniesienia rolnictwa krajowego. O postępach w tej pracy nie omieszkam informować czytelników „Pracy.“

St. Bicz.

Młodzież polska w zakładach naukowych
na Śląsku cieszyńskim.

Cieszyn, w sierpniu 1907.

W księstwie Cieszyńskiem mamy 6 średnich zakładów naukowych (oprócz 2 niemieckich seminaryów) — a mianowicie polskie gimnazyum w Cieszynie, niemieckie gimnazyum tamże, szkołę realną również w Cieszynie, — a nadto gimnazyum i szkołę realną w Bielsku. Szóstym zakładem naukowym jest gimnazyum we Frydku, do której to szkoły uczęszczało zaledwie 8 Polaków, 57 Czechów i 200 kilkudziesięciu Niemców, przeważnie z Moraw.

Na sześć zakładów naukowych w Cieszyńskiem mamy zaledwie jeden polski, t. j. owo gimnazyum polskie, z takim trudem i kosztem pół miliona koron zdobyte. Reszta szkół średnich w rękach Niemców.

Ale teraz przyglądnijmy się cyfrom.

Wszystkich uczniów w tych zakła-

Pożegnał sąsiadów, rozdał swoje ubogie mienie, a gdy przejeżdżał przez las rzekł z westchnieniem:

— Trzynaście lat nie widziałem lasu!...

W Paryżu jednak nie długo wypoczywał Lelewel. Trzeciego dnia osłabł, czwartego już się żegnał z przyjaciółmi i rozporządził majątkiem.

A majątek wielki zostawił, bo ogromne stosy rękopisów, dzieł i książek, które istotnie cennym były skarbem. Lelewel te dzieła i książki zapisał dla biblioteki w Wilnie.

Spodziewał się, iż przyjdą lepsze czasy i Wilno nie będzie zakute niewolnictwa łańcuchem...

W rodzinie nie miał Lelewel wiele osób. Dwie siostry — brat i trzech bratanków, którzy po jego bracie Procie zostali. Ci dostali po zegarku — najmłodszy zaś pierścionek.

Ponieważ miał Lelewel jeszcze dwie laski, więc jednę zapisał bratu — drugą doktorowi Gałęzowskiemu.

Tyle miał do rozdania ów zacny pracownik, który jednak zostawił narodowi skarb cenny i wielki, dzieła swe znakomite i historyę narodu polskiego tak pisaną, jak dotychczas nikt nie pisał.

Zdawało się, że pogrzeb biedaka będzie na obczyźnie smutny i żałobny, bo go nie otoczy grono rodziny... A jednak był pogrzeb tłumny, bo i Polaków przybyło wielu i Francuzi oddali cześć pamięci wielkiego pracownika.

Ciało zabalsamowane złożono w grobie Polaków na cmentarzu Montmartre.

„Joachim Lelewel, powiada Giller, rozległego umysłu i wzniosłego serca, łączył w sobie najobszerniejszą naukę z uczuciem dla wszystkiego co było pięknem i szlachetnem. Mało ludzi było równie w Europie uczonych, a żadnego erudyta równie jak Lelewel kochającego Ojczyznę. Bezinteresowność, niedbanie o wygody życia, skromność, uczynność, pracowitość, życie bez skazy, postawiły moralność naszego historyka w nieporównanym blasku. Jak uczeńszego tak i cnotliwszego nadeń nie było człowieka, Polsce i ludności całkowicie oddany, służył im poświęceniem, wiedzą i pracą“...

Mickiewicz więc wspaniale mówił do Lelewela:

— Ku wielkim pracom niebo dziejopisa woła,
— Odważają się liczni, ale któż wydoła?
— Tylko raz, komu rzadkim udało się cudem,
— Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
— Nad burzę namiętności, interesu sieci,
— Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci,
— Uważa skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
— Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza,
— Grzebiąc zapadłe wieków odległe ciemnoty,
— Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty...
— Lelewelu! rzetelną każdy chlubę wyzna
— Że Ciebie takim Polska wydała Ojczyzna,
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urzędzie,
— Wskazujesz nam co było, co jest i co będzie!

Koniec.

łach kształci się 1750, z tego w 3 gimnazyach 930, a 820 w 2 szkołach realnych. Niezwykłą liczbę uczniów szkół realnych należy sobie tłómaczyć wysoce rozwiniętym przemysłem, gdzie ludność jak i młodzież widzi intratne dla siebie widoki na przyszłość.

Z cyfry tej 1750 uczniów uczęszczało w Cieszynie do gimnazyum polskiego 252, do niemieckiego 321, do szkoły realnej 431, w Bielsku do gimnazyum 354, do realnego 391.

Gimnazyum polskie jest do tej pory najsłabsze; a to tylko dlatego, że wyższe gimnazyum liczy zaledwie 50 uczniów, gdy 200 przypada na niższe. Przyrost uczniów szczególnie w ostatnich latach wzmógł się silnie, tak, że do lat czterech gimnazyum to będzie jednem z najliczniejszych na Śląsku.

Już dziś byłoby ono przepełnione, gdyby wszyscy Polacy ze Śląska uczęszczali doń.

Niestety dziś jeszcze drugie tyle młodzieży polskiej ze Śląska kształci się w zakładach niemieckich, bądź z konieczności, — bądź z braku uświadomienia. Wielu z chęcią posłało by swych synów do polskiego gimnazyum, gdyby nie groziła im utrata stanowiska, które zawisłe jest od Niemca. Wielu zaś upatruje większe korzyści moralne przez posyłanie dzieci swych do szkół niemieckich. Dzięki tym tylko nienormalnym stosunkom polski zakład nie liczy dziś jeszcze tylu uczniów ile w stosunku do liczby mieszkańców Polaków liczyć by powinien.

Jednak przejdźmy dalej do cyfr.

Ze Śląska było w tych szkołach 1200 uczniów, reszta zaś t. j. 550 jest młodzieżą czasowo napływową. Szczególnie dużo uczniów jest z Galicyi, bo przeszło 500. Z tego stu Polaków, a reszta Niemców. Uczniowie Polacy kształcą się w szkołach obu w Bielsku, gdyż w tej okolicy nie było dotychczas po stronie galicyjskiej żadnej szkoły średniej. Napływ Niemców, w liczbie 300, jest aż nadto zrozumiały, ze względu na zniemczoną Białę i okolicę, a nadto ściągają tu synowie oficerów i Niemców z całej zachodniej Galicyi, gdzie szkoły średniej niemieckiej wcale niema. Polacy prawie w każdym zakładzie dosięgają setki, tak że ogółem na 1070 Niemców jest 630 Polaków (40 należy do czeskiej narodowości). Już tu widzimy, że Polacy stanowią więcej niż $^1/_3$ część liczby wszystkich uczniów, powinni by więc mieć co najmniej dwie szkoły średnie polskie. Tymczasem jeszcze zauważymy coś więcej, gdy odejmiemy liczbę uczniów z po za Śląska, bądź co bądź uczniów napływowych, a wtedy przypadnie na Niemców 670, zaś na Polaków 530, czyli że Polacy odrazu będą liczyli $^4/_9$ uczniów ze Śląska, a więc według tego stanu rzeczy należałyby im się 4 szkoły średnie polskie.

To też ludność polska w Cieszyńskiem zdaje sobie dobrze sprawę ze swego pokrzywdzenia na polu szkolnictwa, i prasa śląska zaczyna wzywać ludność do żądania szkoły polskiej średniej na Śląsku, szczególnie w zagłębiu ostrawsko-karwińskiem, gdzieby mogła uczęszczać młodzież ludności robotniczej.

Wreszcie nakoniec wśród tej szarzyzny życiowej na widnokręgu naszej walki, błysnęły w ostatnich dniach lipca radosne promyki, — zwiastuny lepszej doli: Z kół dobrze poinformowanych, — jak doniosły pisma — dowiedziano się, że w roku bieżącym otwartą zostanie I. klasa seminaryum polskiego, jako paralelka przy istniejącem niemieckiem, ponieważ istnieje już klasa II. i IV. przeto z rokiem przyszłym, skoro już wszystkie klasy równorzędne będą w komplecie nic nie będzie przeszkadzało utworzeniu samoistnego seminaryum polskiego w Cieszynie, — drugie, że dyrektor tutejszego polskiego gimnazyum p. Wiktor Szmidt został powołany do Śląskiej Rady Szkolnej, — jako pierwszy Polak do tej pory. *(B—z).*

Przegląd polityczny.

Niemcy: W sobotę i w niedzielę odbyło się na wodach Bałtyku przy Swinoujściu, znanej miejscowości kąpielowej, zapowiadane spotkanie Wilhelma II. i Mikołaja. Monarchowie odwiedzali się wzajemnie na swoich statkach, wydawali dla siebie śniadania, obiady, bywali na nabożeństwach swoich statków, witał ich huk dział okrętowych, okrzyk marynarzy hurra — a w tym czasie miewali ze sobą poufne konferencye oni i ich zastępcy polityki zagranicznej, szczególnie Bülow i Izwolskij.

Prasa niemiecka usiłuje spotkaniu temu nadać formę zwykłej wizyty. Akcentuje bardzo silnie *pokojowe* znaczenie tego spotkania, tak bardzo nawet, że spotkaniu temu w sprawie utrzymania światowego pokoju przypisuje większe znaczenie aniżeli konferencyi w Hadze.

Niemniej silnie akcentuje prasa niemiecka i ten szczegół, że monarchowie rzekomo nie dyskutują wcale nad wewnętrznemi sprawami Rosyi. I jeżeli z całego spotkania, o którem do publicznej wiadomości przedarły się tylko wieści o wzajemnie oddawanych sobie honorach, o udzielonych świtom monarszym orderach, nic więcej nie podpada, to właśnie to gwałtowne odmawianie wszelkiego znaczenia politycznego temu spotkaniu ze strony niemieckiej prasy.

Niestety głęboka tajemnica okrywa narady monarchów i ich ministrów. Można tylko pewne spostrzeżenia robić na podstawie niektórych faktów. I tak n. p. zauważyć trzeba było, że ze strony niemieckiej uprzejmość była nadzwyczajna. Orderów różnego rodzaju posypało się na piersi dostojników rosyjskich daleko więcej ze strony cesarza niemieckiego, aniżeli ze strony cara na piersi dostojników niemieckich. Zdaje się więc, jakoby Niemcom na owem spotkaniu, na dobrem usposobieniu Rosyan do swoich planów więcej zależało aniżeli Rosyanom. Ciekawość tylko, jaką cenę zapłaci Rosya za te błyszczące honory!?

Podpada także, że prasa angielska spotkanie to przyjęła bardzo spokojnie, a jeszcze bardziej, że prasa francuska jest zaniepokojona. Pisma francuskie pełne są skarg na rząd obecny, że nie zdołał zachować Francyi tego znaczenia mocarstwowego, jakie jej się należy. Pisma te przewidują, że Anglia się od Francyi odwróci, i że znać to po tem, jak prasa angielska spotkanie w Swinoujściu traktuje. O tem też mają radzić król Edward VII. i Wilhelm II. podczas spotkania w Wilhelmshöhe, które niebawem nastąpi. Edward VII. ma się z Wilhelmshöhe udać do cesarza austryackiego, Franciszka Józefa. Czy horoskopy te prasy francuskiej mają pewne racye za sobą?

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że coś się knuje za plecami Francyi, ale co, to na razie jest tajemnicą.

Francya: — nie może się pozbyć kłopotu, jaki jej robi Marokko. Powstanie Rajzulego jeszcze nie uśmierzone, a tu nowe wieści hiobowe. Magzen oddał pewnej firmie francuskiej budowę portu Casablanca. Firma roboty rozpoczęła, położyła szyny do pobliskich kamieniołomów, sprowadziła robotników z Francyi. W tem zaszła niespodziewana przeszkoda. Szczepy górskie zażądały od baszy w Caseblance, by przeszkodził dalszym robotom. Chcąc sprawę przewlec, basza odpowiedział, że musi się porozumieć z sultanem. Wtenczas odpowiedziano mu, że sultana nie można uznawać swym panem, bo słucha Europejczyków. Zaczęto nawoływać do „świętej“ wojny przeciwko Europejczykom, napotkanych gdziekolwiek poczęto napadać i mordować.

Nowy to więc dla Francyi kłopot. I nie wiadomo, jak z niego wybrnie. W istocie z Marokka Francya dotąd wielkiej pociechy nigdy nie miała. Zawsze zaburzenia tylko, konieczność uśmierzania zatargów wewnętrznych, szukania odwetów za swoich i obcych obywateli europejskich. Od kilkudziesięciu lat w Marokko zdaje się stósunki nic się nie poprawiły, tak że na tem tle cała konferencya w Algeciras i jej uchwały nie przedstawiają się inaczej, jak tylko i jedynie jako próba wpływów mocarstw europejskich. Trudno osądzić, kto i ile na tej próbie zyskał. Sama Francya zyskała na razie tylko mnóstwo kłopotów, tak że przypomina się co do niej, pewne polskie przysłowie o — babie i kłopocie......

Przegląd prasy.

Niektóre pisma, a mianowicie *„Dz. Berliński“* i *„Dzien. Kujawski“* zdają się upatrywać w poruszeniu *opinii europejskiej* i w *wiecach protestacyjnych* jakiś środek zaradczy przeciwko zapowiadanemu przez prasę niemiecką projektowi do prawa wywłaszczenia.

W przeciwstawieniu do niezliczonych artykułów w prasie niemieckiej powiada *„Dziennik Kujawski“*, *że*

„u nas dotąd *nic się nie dzieje*, coby mogło temu barbarzyńskiemu projektowi przeciwdziałać. Prasa nasza po części *bezradna* a społeczeństwo polskie *obojętne*, jak to zwykle u nas bywa, gdy niebezpieczeństwo jeszcze dalekie. Znajdują się nawet gazety, które radzą wprost nic nie czynić i cicho siedzieć, żeby *„nie drażnić.“* (?) Tak daleko ogłuszył nas młot berliński, który ciągle w nas wali, że już tylko jak bydło na rzeź nas prowadzić można? Tak dalece osłabiliśmy w sobie ducha i wiarę w siły własne, że jesteśmy na razie bezradni. Zamiast poruszać niebo i ziemię, *krzyk* zrobić w prasie zagranicznej, schowaliśmy głowę w piasek jak struś i oczekujemy aż nas „spokojnych“ wróg ubije. Mamy w Poznaniu „Straż,“ „Towarzystwo wiecowe“ i cały sztab dziennikarski, ale to wszystko nie prędzej się ruszy, dopóki nam woda za kołnierz lać się nie będzie.

Na pochwałę komitetu naszego powiatowego (inowrocławskiego) musimy zaznaczyć, że już w tej kwestyi porobił pierwsze kroki i postanowił zwołać niebawem wiec.

Cały zabór pruski powinien się obecnie ruszyć i wobec całego świata wypowiedzieć, co sądzi o tym barbarzyńskim, niegodnym cywilizowanego państwa projekcie „prawa“ wywłaszczania własnych obywateli i założyć przeciw temu uroczysty protest. Ale u nas ukaże się prawdopodobnie ruch protestacyjny dopiero wtenczas, gdy będziemy już nóż mieli na gardle.“

Powiada więc „Dz. Kuj.“, że „prasa jest bezradna,“ że „społeczeństwo jest obojętne,“ że „są pisma, które radzą nie drażnić.“ Sam natomiast daje radę, ażeby „poruszyć niebo i ziemię,“ ażeby „krzyk robić w prasie zagranicznej,“ ażeby „cały zabór pruski poruszyć i wobec całego świata zaprotestować.“

Nie powiada tylko „Dz. Kuj.“ jaki skutek będzie tego „poruszenia nieba i ziemi,“ tego „krzyku w prasie zagranicznej,“ tego „protestowania całego zaboru pruskiego wobec całego świata.“ A dla czego tego nie powiada? — Bo wie to, co wie i ta przez niego „bezradną“ nazwana prasa, i co wie to „obojętne (rzekomo) społeczeństwo,“ mianowicie, że: — rząd pruski wszystkiego tego się nie ulęknie, i jeżeli partya konserwatywna na projekt jego się zgodzi, to go nie tylko do sejmu wniesie ale i przeprowadzi.

Jaki więc będzie skutek, o ile chodzi o projekt wywłaszczenia, gdy społeczeństwo pójdzie za radą „Dz. Kuj.“? — Nic będzie *żadnego!*

Co do społeczeństwa samego ma się rzecz nieco inaczej. Musi „Dz. Kuj.“ jednakże to społeczeństwo nasze nie bardzo dobrze znać, skoro nazywa je obojętnem względem projektu wywłaszczenia. Albo też „Dz. Kuj.“ nie miał sposobności porozumieć się z odnośnemi sferami. Otóż, jeżeli to dla „Dz. Kuj.“ istotnie jest tajemnicą, to zdaje się nam, że nie popełniamy niedyskrecyi, jeżeli mu zdradzimy, że istotnie społeczeństwo to obojętne nie jest, ale z żywością rozbiera kwestyę, co będzie, gdy projekt rządowy stanie się prawem. Otóż to społeczeństwo patrzy dalej aniżeli „Dz. Kuj.“, patrzy już za ów Rubikon, od którego przejścia zdaje się zależeć nasz byt lub zagłada. Jednakże nie będziemy zdradzali „Dz. Kuj.“, tego, co odnośne koła zamierzają czynić, a nie zdradzimy ze względu na to, że dowiedziałby się o tem — i ktoś niepowołany!

Naszem zdaniem w tej chwili, która dla nas może a prawdopodobnie i będzie przełomową, społeczeństwo nasze powinno zachować spokój, zimną krew i trzeźwą rozwagę. Wiecowanie, protestowanie, innemi słowy łudzenie się możnością zapobieżenia prawu wywłaszczenia musiałoby społeczeństwo tych właśnie przymiotów pozbawić — a skutek byłby ten, że po wiecach, po protestach, gdyby pomimo wszystkiego owo prawo uchwalone zostało, nastąpiłoby rozgoryczenie i rozczarowanie, które — wiadomo — w ciężkich chwilach jest złym doradcą.

Z tego względu nie możemy się zgodzić na to, ażeby dziś już rozprawiać *publicznie* nad tem, co robić będziemy, albo co robić należy po uchwaleniu projektu. I dziwi nas bardzo, że *„Kurjer Poznański,“* który w sprawie wieców, protestów i poruszenia opinii europejskiej to samo, co my zajmuje stanowisko, na ten temat dyskusyę rozpoczął. Nie inaczej bowiem możemy sądzić umieszczony przezeń artykuł p. *Marjana Szumana.* Artykuł ten przewiduje, że jednym ze skutków prawa wywłaszczenia będzie:

„niewątpliwie wzmożona emigracya żywiołu polskiego, z objętych ustawą polskich obszarów etnograficznych i w głąb Niemiec i poza granicę Rzeszy niemieckiej po szerokim świecie.“

Czy wzmożona emigracya taka będzie istotnie skutkiem „niewątpliwym“ projektu wywłaszczenia, ocenić nam trudno. To atoli wiemy, że wobec tego, że „Kurjer“ i całe społeczeństwo dobrze sobie zdaje sprawę z tego, że celem polityki pruskiej od czasów rozbioru Polski jest:

„wyprzeć żywioł polski z odwiecznych jego siedzib, a zdezorganizowane narodowo i społecznie resztki i niedobitki zasymilować, o ile na to wypadki dziejowe, siła Prus i odporność polskiego społeczeństwa pozwalają“ —

wiemy, że wobec tego celu przewidywanie wzmożonej emigracyi może być uważane za usprawiedliwianie jej, co gorsza za wskazywanie jako smutną konieczność.

Tymczasem dla (ew.) wywłaszczonych zdaje nam się i pod rządem pruskim na ziemi polskiej dużo pozostanie jeszcze miejsca. Małoż tu mamy miast? — Małoż tu ludzi szuka kapitału do rozszerzenia swojego przedsiębiorstwa?! Zdaje nam się, że wobec możliwości, że prawo wywłaszczenia przejdzie, daleko bliższą rzeczą jest wskazywanie drogi do polszczących się miast — aniżeli na obcą ziemię.

* *

Obserwator *„Gazety Ostrowskiej“* bardzo się na nas pogniewał, że mieliśmy śmiałość wytknąć mu jego „czarności“ i zaznaczyć nasze odmienne w tej sprawie zapatrywanie, które on nazywa „różowemi okularami,“ przez które rzekomo nie widzimy

„jak dziesiątki pomocników kupieckich dobijają się o *każdą* opróżnioną posadę, jak pomocnicy ci od rychłego rana do późnej nocy bez ustanku pracować muszą ciężko i z natężoną uwagą, jak pomocnicy ci często nawet z przepisów policyjnych, wydanych na ich korzyść korzystać się *nie odważą;* bo niech by tylko który miał śmiałość powiedzieć pryncypałowi, że zamierza pracować

tylko tak długo jak prawo na to pozwala, tej chwili może sobie iść a w jego miejsce znalezie się *pięćdziesięciu* (!) innych, którzy na wszystko się zgodzą, żeby tylko zarobić na kawałek chleba.“

Czy tak istotnie jest, i skąd obserwator czerpie swoje wiadomości, o tem nic nie mówi. Nie zaprzeczamy, że położenie pomocników „nie jest różowe,“ ale czy jedynie ze względu na to, że ich jest za wielu? Dla czego obserwator nie uwzględnia faktu, że dużo kobiet w wielu zawodach kupieckich wręcz wyparło pomocników, dla czego nie uwzględnia skarg pryncypałów na brak dostatecznego wykształcenia pomocników? Nam te dwie rzeczy wydają się być bardziej istotnemi przyczynami złego położenia aniżeli nadprodukcya pomocników, na którą z kół pomocników kupieckich dotąd skarg jeszcze nie słyszeliśmy.

Okrutnie się też rozsierdził obserwator na to, że śmieliśmy mu wytknąć nieścisłość określeń „nasz handel,“ „nowe rynki zbytu,“ „nasze towary,“ a najlejszym dowodem tego rozsierdzenia to dziwne tłomaczenie uwagi naszej jakbyśmy *kupiectwo polskie* degradowali do roli „kramarzy;“ a jako „nasz handel“ uważali grosistów i komisyonerów, handel zamorski i portowy. Co najmniej też dziwnem jest ironizowanie „uczonych mądrości książkowych.“ Możeby obserwator wynalazł inny środek uczenia się i czerpania wiedzy, aniżeli z „uczonych mądrości książkowych.“

„Nie sierdit sia“, panie obserwator, bo to najlepszy dowód, że nie macie racyi. Na pocieszenie możemy Was zapewnić, że chęci Wasze — niewątpliwie dobre — nam się bardzo podobają; szczególnie znać po artykułach o „rzetelności w kupiectwie.“ To jest chwytanie się rzeczy — praktyczne i realne, bo nie jest wskazaniem samego złego, nie tylko krytyka w znaczeniu negatywnem, ale podawanie sposobów naprawy, rozglądanie się, o ile wymagania publiczności są słuszne, na czem polegają niedomagania kupiectwa naszego, i jak z tego położenia wybrnąć, ażeby stąd wynikła *korzyść dla społeczeństwa.*

Dla *korzyści bowiem społeczeństwa mamy pracować,* a nie dla upustu czy to zbytku naszej energii, czy też zbytku nagromadzonej w sercu naszem gorzkości, że jest źle. Że jest źle, wiemy o tem wszyscy — chodzi o to, by wskazać, jak ma lub może być lepiej. A to trudniej.

* * *

Po dyskusyi, z której wynieść należało wrażenie, że projekt ks. prob. Zakrzewskiego w sprawie przejścia katolików-Polaków w Berlinie na obrządek katolicko-ormiański nie zbyt się spodobał, zabrał w tej sprawie jeszcze raz głos na łamach *„Dz. Berlińskiego“* sam projektodawca, by — jak powiada

„udowodnić, że, ażeby zachować ludowi naszemu miłość do Stolicy św. i wiarę w Jej niewzruszoną sprawiedliwość, koniecznością jest nawet, *rozdzielić Ojca św. od dyplomacyi watykańskiej,* dla tego też pierwsze odezwanie moje w ten sposób sformułowałem, żeby tę różnicę uwydatnić.

Chyba każdy nieuprzedzony przyzna, że działanie dyplomatów watykańskich w naszych sprawach w dobie obecnej raczej *gorycz i niechęć* wzbudzać musi w sercach Polaków, przywiązanych szczerze do swej wiary i narodowości, niż miłość i przywiązanie jeżeli się z tej strony dyplomatycznej dla zachowania znośnych stosunków z luterskim rządem pruskim rzecz tak dalece naciąga, *że się Polaków w państwie pruskiem traktuje jako „quantite negligeable,“* że się nawet pragnie, *aby ci Polacy,* stanowiący przecież czynnik tak niesłychanie ważny dla Kościoła katolickiego, *ze siebie samych złożyli ofiarę Kościołowi, t. j. poświęcili zupełnie narodowość swoją dla katolicyzmu,* to naturalnym objawem tych prądów jest wywołanie nieufności początkowo, zamieniającej się niestety łatwo w gorsze uczucia.

Powie kto, proszę udowodnić, że tak jest, że dyplomacya watykańska rzeczywiście tak o nas myśli.

Sprawa strejku szkolnego najlepszym jest tego dowodem.

Sądzę, że rzecz jest tak ważną, że już nadal nie powinno się ukrywać wiadomości swoich, o których się dotąd tylko prywatnie mówiło.

Mam na to najpewniejsze dowody i gotów jestem wymienić osoby, przed któremi ojciec św. roku zeszłego dnia 22 września najzupełniej pochwalił postępowanie rodziców i dzieci, strejkujących w nauce religii.“

W dalszym ciągu swego listu twierdzi ks. Z., że to właśnie dyplomacya watykańska przeszkodziła zamiarowi Ojca św.

Nie powracamy dziś do projektu samego. Powiedzieliśmy o nim, cośmy uważali za słuszne i konieczne. Na pismo to jednakże z ważnych przyczyn należy zwrócić uwagę. Od śmiałego ongi wystąpienia ks. Smorawskiego w sprawie „Straży,“ nie słyszeliśmy ani jednego tak śmiałego głosu jak obecnie ks. Zakrzewskiego. A przecież ks. Smorawski odwoływał się od władzy dyecezyalnej do Ojca św. w tej ufności, że Ojciec św. przyzna mu prawo przynależenia do „Straży“ wbrew zakazowi biskupiemu! Dziś natomiast ks. Zakrzewski powiada, że Ojciec św. znajduje się pod wpływem *dyplomatów,* którzy traktują nas Polaków jako „wartość podrzędną,“ i którzy gotowi od nas żądać ofiar z naszych skarbów narodowych na rzecz ich polityki.

To jest rzecz nowa, o tyle przynajmniej nowa, że wypowiada ją *publicznie ksiądz.* Dotychczas obiegała ona tylko jako cicha wersya szczupłą garstkę polityków, którzy wahali się rozgłosić ją z obawy, ażeby przez to nie — ucierpiał Kościół katolicki. Teraz niepodobna o tem milczeć, kiedy głosi ją ksiądz, który z obowiązku musi znać: granicę i czas, kiedy z takiemi wieściami wystąpić należy publicznie.

Sprawa to jednakże zbyt ważna, zbyt głęboko sięgająca do wnętrza naszego społeczno-narodowego życia, ażebyśmy ją mieli traktować na prędce. Podajemy więc na razie tylko głos ks. Zakrzewskiego, uważając go za fakt niesłychanej doniosłości. Zaznaczamy jeszcze tylko to, że przyjdzie nam spokojnie rozważyć sobie pytanie: o ileśmy w ostatnich dziesiątkach lat zbytnio przeceniali t. zw. sympatye Rzymu dla spraw polskich!!...

Redakcya.

Listy od Przyjaciół.

W sprawie młodzieży.

Chełmno, 4-go sierpnia 1907.

Kochana „Praco!“

Nasamprzód, kochana „Praco!“ składam ci podziękę za to, iż ty w głównej mierze przyczyniłaś się do mojego rozbudzenia narodowego; żeś mię wychowała na Polaka szczerego, gorąco oświaty pragnącego, a której tak brak nam jeszcze, szczególniej młodzieży. Z ciebie czerpałem i czerpię naukę i od ciebie odbieram zachętę do dalszego kształcenia się.

Czytając listy od różnych przyjaciół „Pracy,“ które sprawiały jej radość, postanowiłem i ja się odezwać, aby zwrócić uwagę społeczeństwa na nas, na młodzież. Z powodu strejku szkólnego już raz się nami zajmowano, a głównie młodzieżą szkolną.

O nas, o młodzieży dorastającej, mniej było mowy. A jak wielu nas błądzi jeszcze w ciemnocie i zupełnej obojętności narodowej?! Tak niejedni wypierają się nawet swej narodowości. Z bólem serca widzę, jak mało się dla nas na tem polu czyni. Nasi rodzice wcale nic, lub bardzo mało starają się nas wychować na dobrych synów ojczyzny; a my mamy być przecież przyszłością narodu. To też jak nas wychowacie, taką będziecie

mieli przyszłość. Wejdźcie między nas, a zobaczycie, jaka u nas ciemnota. Spytajcie się, kto z nas poprawnie po polsku pisać potrafi, kto zna nasze dzieje narodowe, kto tam słyszał o Mickiewiczu, Słowackim i Sienkiewiczu; zobaczycie tu ową, coraz bardziej rozgnieżdżającą się zgniliznę moralną, jaką zawdzięczamy kulturze niemieckiej. Bo kto nam poda elementarz lub gramatykę języka polskiego, gdzie mamy usłyszeć o polskich poetach, bohaterach, a już wogóle o polskiej historyi?

Czy w pruskiej szkole, która panowanie polskie tak oczernia, że wśród nas nieświadomych tylko niechęć do wszystkiego co ojczyste, a polskie wznieca?! Nie posiadamy żadnej broni przeciw tym oszczerstwom, bo rodzice sami ciemni, wolą ładniejszą suknię, albo jeden kufel piwa więcej wypić. A my nie mamy za co, i nie czujemy potrzeby sobie takich książek kupować.

Mówię tu za tylu innych i za siebie, gdyż jako terminator malarski nie mogę sobie wszystkiego kupić, coby mi było potrzebne do samokształcenia się. Jak chętnie bym n. p. chciał się zapoznać bliżej z gramatyką, historyą, literaturą polską; słyszę o piękności poezyi Mickiewicza i tylu innych, o powieściach Sienkiewicza, ale ich nie znam. Co wiem to tylko z kochanej „Pracy“ i małych podręczników i różnych urywków, które chciwie zbieram. Jest między nami kilka jednostek, które tak samo myślą i w takim samem są położeniu

Ale większość ogromna jest wobec tego zupełnie zobojętniała. Staramy się naprawić, co się da, a przynajmniej powstrzymać od dróg ubocznych.

Ale sami nie zdołamy wiele co zdziałać, kiedy nam z pomocą nie przyjdziecie. Mamy i tu do walczenia z pychą i wydrwiskami naszych braci. Nas to naturalnie nie zraża. Czerwony krawat, biały orzełek, należność do jakiego towarzystwa, słomianny hurra-patryotyzm, gburska pycha, to cechy naszej młodzieży, oświeconą się zwiącej. Pojmują oni obowiązki Polaka zupełnie fałszywie. Spytawszy się n. p. ćwiczącego „sokoła,“ rzemieślnika o powód tak nielicznego udziału w ćwiczeniach, dowiedziałem się, że: kupcy się wstydzą z nami ćwiczyć, a pierwszego lepszego parobka nie bierzemy. „Parobkiem,“ jest zdaniem tego młodzieńca ktoś z „ludu wiejskiego,“ chociaż ten lud w ostatnich czasach tak chętnie się garnie do narodowej pracy. Taki duch wśród naszych „przywilejowanych,“ jest godnym jak najgorszej nagany. Ale spytajcie się ich o co z historyi, to zdumiejecie nad odpowiedzią!

Przejdźmy teraz do naszych gimnazyastów, przyszłych wodzów narodowych. Odgradzają się oni od drugich murem chińskim, a rozmawiają między sobą językiem niemieckim. Dzieje to się tu w Chełmnie.

Są między nimi tacy, co pobierają zapomogi od polskich towarzystw, i na pierwszy rzut oka poznać, iż ten i ów to syn chłopski, a tu na ulicy boi się wymówić słowa polskiego.

Prawda, nie u wszystkich to się dzieje. Ale prawie u wszystkich bije z twarzy: niedostępność!

Będzie mnie może kto posądzał o rodzaj zazdrości na tych „uprzywilejowanych“ i młodzież gimnazyalną. Tak nie jest. Pamiętam o słowach: „Z szlachtą polską, polski lud,“ ale widzę, iż ta idea braterstwa jeszcze nie tak rozpowszechniona w życiu jak w ustach.

A tymczasem na dziś dość. Chyba nie mylę się, iż kochana „Praca“ chętnie dalsze listy przyjmie. Mam także nadzieję, iż tych kilka uwag nie będą grochem na ścianę ciskanym.

Teraz pozdrawiam Szan. Redakcyą „Pracy“ i wzywam kochanych rodaków, aby zjednali jej jeszcze więcej czytelników, aby w ten sposób „Praca“ mogła, tem korzystniej dla polskiej sprawy działać. *jp.*

* * *

Z Galicyi.

Rzochów, dnia 5-go sierpnia 1907.

Szanowna Redakcyo!

Dłuższy czas nie otrzymywałem „Pracy.“ Stęskniłem się też za nią, bo poznałem, jaka to dobra gazeta, jaki potrzebny przyjaciel domu. W tym czasie zaszło wiele wypadków w naszej Galicyi, o których wiele miałbym do pisania w stosownym czasie, ale uczynił to już lepiej kto inny — chcę więc podzielić się tylko z kilkoma mojemi uwagami.

Faktem jest, że z wyborów ostatnich nasze Koło polskie wyszło znacznie uszczuplone. Jednak już przebieg dotychczasowej kadencyi parlamentu wykazuje, że wpływ Polaków ani na jotę nie został uszczuplony, a nawet jak oświadczył publicznie wiceprezes klubu ruskiego, Polacy nigdy tak silnego stanowiska nie mieli jak teraz. Koło polskie liczebnie znacznie słabsze góruje nad innemi tak jak dawniej solidarnością i karnością a nadto wyrobieniem swoich posłów. Przyrost wielkiej liczby posłów demokratycznych, mimo liczbowego zmniejszenia, wyszedł sprawie narodowej na dobre.

Rozpaczać nie ma co. Wybory okazały nam prawdziwy stan rzeczy, to też ludzie dobrej wiary rąk nie załamują, lecz żwawo garną się do pracy od podstaw. W obozie narodowym spostrzeżono dobrze wszystkie błędy i da Bóg, że doświadczenie nabyte na przyszłość wyjdzie na dobre.

Najpilniejszą potrzebą narodową jest demokratyczna reforma wyborcza do Sejmu i zmiana tych ustaw, które dzieliły sztucznie społeczeństwo, dawały punkt oparcia warcholskiej agitacyi wśród ludu i wytworzyły poniekąd stosunki, jakie się ujawniły w czasie wyborów. Sprawą tą wszyscy żywo się interesują i jest nadzieja, że zostanie ona ku ogólnemu zadowolnieniu rozwiązaną.

Tyle miałem na razie podać do „Pracy,“ mam nadzieję, że i inni galicyjscy czytelnicy „Pracy,“ których tu jest sporo, nie raz na tem miejscu zabiorą głos w różnych sprawach, by w ten sposób zrobić z „Pracy“ łącznik, między nami a braćmi z nad Warty.

Szermierz.

P. S. O wyjściu z więzienia p. redaktora Wierzbińskiego nie cała nasza prasa pisała.

Sympatycznie odniosła się co do tego „Ojczyzna.“ Zasyłając Panu Redaktorowi szczere słowa uznania, myślę, że będę wyrazem życzeń ogółu galicyjskich zwolenników „Pracy.“

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Sejmik Związku Spółek Zarobkowych i Gospod. na Poznańskie i Prusy Zachodnie odbędzie się dnia 10, 11 i 12 września 1907 w Poznaniu. Szanownych Delegatów, Członków i Przyjaciół Spółek uprzejmie zaprasza

Ks. Wawrzyniak,
Patron Spółek.

Porządek obrad:

1. Dnia 10 września we wtorek o godzinie 7 wiecz. 1) Zagajenie Sejmiku przez Patrona. 2) Sprawozdanie pełnomocnictw delegatów. 3) Wybór marszałka, zastępcy i dwóch sekretarzy. 4) Ustanowienie porządku obrad. 5) Wyznaczenie komisyi: a) do nr. 13 i 16 zagai ks. Patron, b) do nr. 7 i 9 zagai Wicepatron, c) do nr. 8 zagai ks. Adamski, d)

do nr. 11 zagai ks. Bolt, e) do nr. 14 i 15 zagai ks. Kotecki, f) do nr. 10 i 12 zagai dyrektor Więckowski. 6) Sprawozdanie Patrona. Następują prace w komisyach.

2. Dnia 11 września w środę o godzinie 8 msza św. na intencyę Sejmiku, poczem o godzinie 9 rano: 7) Sprawozdanie Banku Związku Spółek. 8) Sprawa kursów. 9) Rewizye związkowe a defraudacye w Spółkach. 10) Czy i o ile zaleca się w Spółkach udzielanie kredytu niepokrytego. 11) Równoczesne należenie do Zarządów i Rad Nadzorczych kilku Spółek. 12) Komu nie pożyczać i czy kogo uwzględniać przy ustanowieniu stopy procentowej.

3. Dnia 12 września w czwartek o godzinie 8 rano: 13) zmiana ustaw Związku. 14) Przedłożenie rachunków Kasy Związku i pokwitowanie tychże. 15) Unormowanie składek do kasy patronackiej za rok ubiegły. 16) Sprawa Rolników. 17) Referaty rewizorów i delegatów.

* * *

Wiec „Straży" w Łobżenicy odbędzie się w niedzielę, dnia 11 sierpnia o godzinie 5 po południu na sali p. F. Byczka. O liczny udział Szanownych Rodaków uprasza

Starosta na powiat wyrzyski.

* * *

Wiec „Straży" na hubach w Turzy w powiecie wągrowieckim w gospodzie p. Hędzia odbędzie się 11 sierpnia o godzinie 4 i pół po południu. Przemawiać będzie jako delegat „Straży" p. redaktor B. Milski.

* * *

Wiec polski dla rodaków w Mieścisku i okolicy odbędzie się w niedzielę, 18-go b. m. o godz. 12 i pół w południe w stodole p. Bolesława Niewiteckiego. Przemawiać będą delegaci z Poznania.

Wacław Nowicki,
organista.

* * *

Nadzwyczajne walne zebranie Tow. Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu odbędzie się w niedzielę 11 sierpnia punktualnie o godzinie 5 po południu na sali Domu Katolickiego. Porządek obrad: 1) Zagajenie. 2) Sprawozdanie pełnomocnictw. 3) Sprawozdanie komisyi rewizyjnej i udzielenie pokwitowania skarbnikowi za ubiegły rok. 4) Zmiana ustaw. 5) Wybór zarządu Zjednoczenia. 6) Wnioski o wolne głosy.

Apelujemy gorąco do szan. kolegów, aby na powyższe nader ważne zebranie licznie i punktualnie przybyli.

Zarząd.

Dr. Hącia, prezes. *K. Otmianowski*, sekretarz.

* * *

Za zaszczyt mamy sobie donieść Szan. bratnim Towarzystwom Śpiewackim, iż *tegoroczny Zjazd Kół Śpiewackich w obręgu wschodnio-południowym (ostrowskim) odbędzie się w niedzielę, dnia 25-go sierpnia r. b. w parku miejskim.*

Usilnem naszem pragnieniem jest, aby Szanowne Towarzystwa zechciały nam swego współudziału nie odmówić, przez przysłanie swych delegatów, i o jak najliczniejsze przybycie takowych uprzejmie w gościnę zapraszamy.

Furmanki oczekiwać będą na dworcu w Ostrowie i Biniewie.

Załączając wyrazy braterskiego pozdrowienia Cześć pieśni!

Raszków w sierpniu 1907.

Zarząd Koła Śpiewackiego w Raszkowie.
J. Zwierzyński, sekretarz.

Z piśmiennictwa.

„Biblioteka Warszawska," numer lipcowy zawiera następującą treść: Łuna (powieść przez K. Zdziechowskiego) — O chłopskim eposie Konopnickiej — (przez St. Maykowskiego) — Ruch piśmienniczy we Francyi (przez K. Woźnickiego) — Marlowe i Mickiewicz (przez A. Tretiaka) — Losy sceny dramatycznej w teatrze warszawskim (przez W. Bogusławskiego) — Gustaw Moreau(przez J. Topassa)— Kiedy Boruta był pacholęciem (przez J. K. Kochanowskiego- — Piśmiennictwo, Kronika miesięczna, Wiadomości.

„Czytelnia Ludowa," Kwartalnik Tow. Czyt. Ludowych w Poznaniu zawiera w zeszycie II następujące artykuły: Po walnem zebraniu. — Sprawa zmiany książek w Czytelniach Ludowych. — O zbieraniu składek na rzecz T. C. L. — Nasze czytelnie. — Wiec T. C. L. w Ostrowie. — Spis czytelni, które zaginęły. — O co książka T. C. L. prosi? — Oceny książek dla ludu i młodzieży.

„Znieprawienie myśli polskiej," artykuł X. *Stanisława Okoniewskiego* zwracający się przeciwko utworzonej przez znanego poetę Niemojewskiego „Lidze wolnej myśli" wyszedł w osobnej odbitce. Pierwotnie artykuł umieszczony był w „Przeglądzie kościelnym." X. Okoniewski zebrał w artykule tym i potępił książki antyreligijne i poddał ocenie kilka książek zbijających zarzuty robione Kościołowi, papiestwu i religii. Artykuł jest napisany ciepło.

„Teofil Preiss," znany w Poznaniu nauczyciel książkowości i rewizor książek, wydał dwa dla młodzieży kupieckiej ważne podręczniki: o *„książkowości* pojedyńczej i podwójnej *dla kupców i przemysłowców* z praktycznemi przykładami i dodatkami — oraz *„Praktyczną naukę o wekslu."* Obie te książki można szczerze zalecić ze względu na ich jasny i poglądowy układ i bogaty a niezbędny dla kupca materyał informacyjny. Podręcznik do „książkowości" wyszedł w drugiem, ulepszonem i rozszerzonem wydaniu.

„Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości," organ „Wyzwolenia" i „Związku księży abstynentów" zawiera w No. 44 następujące artykuły: Do Sztokholmu! — Pijaństwo,suchoty, zwyrodnienie. — Franklin abstynentem. — Zdania wybitnych mężów o alkoholiźmie. — Sprawozdanie z walnego zebrania księży abstynentów. — Wiadomości ze świata. — Z ruchu wstrzemięźliwości. — Sprostowanie. — Z piśmiennictwa.

Wiadomości.

* **Kaczka dziennikarska**: W niedzielę dnia 4-go b. m. odbyły się po południu ćwiczenia poznańskich sokołów wspólnie z kilkoma sokołami z Jeżyc, Wildy, Rogoźna i Szamotuł. Ćwiczenia te odbyły się na wolnem boisku, należącem do domu *„Gniazda,"* spółki budowlanej, posiadającej grunt przy W. Garbarach nr. 54. Do ćwiczeń stanęło 36 druhów! Garstka publiczności, nie licząca nad sto głów przyglądała się ćwiczeniom, nie wliczając w to tych osób, które z sąsiednich domów na sokołów patrzały. I cóż z tego drobnego wypadku robią pisma? Oto dowcipniś jakiś przesłał „Berliner Tageblattowi" telegram, w którym pisze, że odbył się zlot w Poznaniu, że do ćwiczeń stanęło 200 (!) sokołów z Szamotuł, Gniezna, Buku, Grodziska, Opalenicy, Kórnika i Środy, że zebrało się *dużo* publiczności, że obecnych było kilku posłów, że redaktora p. M. Wierzbińskiego przyjmowano owacyjnie, że po dzielnych (!) ćwiczeniach, oklaskiwanych przez liczną publiczność, bawiono się skromnie lecz wesoło na sali!

Co najlepsze, że pisma polskie ów telegram „Berl. Tageblattu" powtarzają w dosłownem tłomaczeniu. Tymczasem telegram ten jest najpospolitszą kaczką dziennikarską, co wynika z różnych wręcz nieprawdziwych wieści, mianowicie co do bytności posłów, co do liczby ćwiczących, co do uczestnictwa Gniezna, Buku, Grodziska, Opalenicy, Kórnika i Środy, wreszcie co do zabawy na *sali* (!), której grunt „Gniazda" wogóle nie posiada.

A może to i „robota wielkopolskiego niebezpieczeństwa?!" W takim razie jeszcze gorzej, że pisma polskie wpadły na lep niemieckiego telegramu.

* **Nad sprzedażą Kluczewa**, majętności w pow. Śmigielskim obejmującej 3600 mórg, którą od właśc. dóbr rycerskich p. Adolfa Heinricha kupił *Bank Parcelacyjny z Kościana*, roni łzy krokodylowe — „Pos. Tageblatt." Radzi on, żeby organizacya agraryuszy niemieckich t. zw. Bund der Landwirthe p. *Heinricha* wykreślił z liczby swoich członków, gdyż p. H. utracił przez sprzedaż Kluczewa Polakowi prawo przynależności do bundu. „Pos. Tageblatt" jęczy nad stratą niemczyzny tem bardziej, że p. H. wcale nie chciał wchodzić w pertraktacye z komisyą kolonizacyjną. Pan H. ma być człowiekiem zamożnym, córki jego mają być dobrze wydane, tak że

dla „Pos. Tagebl.“ sprzedaż Kluczewa wydaje mu się zupełnie niezrozumiałą. — Ale dla czego te jęki? — Oto dla tego, ażeby na podstawie rzekomo zbyt wysokiej ceny (Kluczewo kupił Bank Parc. w K. za 1,200,000 mrk.) wysnuć wniosek, że ceny ziemi w W. Ks. Pozn. są niezdrowe, i że może temu zapobiedz tylko — prawo wywłaszczenia. To ostatnie jest obecnie prawdziwie powszechnem lekarstwem (Allheilmittel) na wszystkie patryotyczne dolegliwości hakatystyczne.

* **Straszne nieszczęście kolejowe.** W nocy z wtorku na środę, pociąg idący od Torunia — pospieszny — wykoleił siię pomiędzy stacyą Jankowem (Thalsee) a Trzemesznem na polu. Dwie lokomotywy uszkodzone, 2 konduktorowie zdołali w czas zeskoczyć z lokomotyw — 2 palaczy zabitych, wagony I. i II. klasy oraz wagon sypialny strzaskane. 50 osób podobno utraciło życie — wielu rannych. Pociąg z Gniezna zaraz pospieszył na miejsce nieszczęścia. Tor na 12 godzin zamknięto. O przyczynach katastrofy różni różnie mówią.

* **Koniec strejku szkolnego.** „Ostdeutsche Rundschau“ donosiła niedawno, że strejk szkolny w całem W. Ks. Poznańskiem ustał już zupełnie. Wobec tego dowiaduje się biuro Wolffa ze strony miarodajnej, że strejk ustał tylko w obwodzie regencyjnym bydgoskim. Natomiast w Poznańskiem trwał aż do początku wakacyi, jakkolwiek w zmniejszonej mierze. Czy trwać będzie także po wakacyach, tego przesądzać nie można.

* **Wypuszczeni z więzienia.** Ks. *prob. Piotrowicz z Gniezna* opuścił więzienie we Wronkach po trzymiesięcznym w niem pobycie, dnia 31-go z. m. i przybył do Gniezna niespodziewanie. Ponieważ spodziewano go się dopiero nazajutrz, dlatego zastał dekoracye swego parafialnego kościoła św. Trójcy jeszcze nie wykończone, a obywatelstwo nie zdołało go powitać jak pragnęło.

Ks. prob. Piotrowicz wkrótce opuszcza Gniezno i obejmuje probostwo w Skalmierzycach.

Dnia 1-go b m. po południu opuścił więzienie poznańskie odpowiedzialny redaktor „Postępu“ p. *Julian Trocha* po odsiedzeniu 5-miesięcznej kaźni za sprawę szkólną.

* **Ksiądz Teofil Gapczyński,** proboszcz rogoziński, stawił się dnia 2-go b. m. rano w więzieniu wronieckiem, celem odbycia trzymiesięcznej kaźni za obronę polskiej nauki religii.

* **Przymusowa sprzedaż.** W Kiełczewie sprzedano u gospodarza p. Pawła Rolińskiego dwie gęsi, ponieważ nie chciał zapłacić 5 marek kary, nałożonej mu za strejk dziecka.

* **Proces ks. Jadomskiego z Kotłowa.** Świeżo rozpatrywała izba karna w Ostrowie powtórnie sprawę ks. Jadomskiego z Kotłowa o rozdzielanie t. z. kartek strejkowych. Jak wiadomo rozgrywała się sprawa ta już raz przed sądem tutejszym, wówczas skazano ks. Jadomskiego na 200 mrk. kary. Przeciwko wyrokowi wniósł oskarżony o rewizyę do sądu rzeszy, który też zniósł powyższy wyrok i przekazał sprawę tę sądowi ostrowskiemu do powtórnego rozpatrzenia. W ponownych rozprawach wniósł prokurator sam o uwolnienie. Do wniosku tego przychylił się też sąd, uwalniając ks. Jadomskiego od winy i kary.

* **Proces z powodu powitania kapłana.** Przed sądem ławniczym w Gnieźnie toczył się proces o urządzenie „pochodu publicznego“ na powitanie ks. Fórmanowicza z Modliszewka, opuszczającego więzienie Na ławie oskarżonych zasiedli gospodarze: Wojciech Kwiatkowski wraz z żoną i synem z Napoleonowa, Franciszek Kaczmarek z Napoleonowa, Józef Fischer z Dębłowa król. z żoną, Franciszek Maliszewski z żoną, Jan Mikuła z Dębłowa, Józef Domagalski z Dębłowa. (Marcin Kozłowski ze Świątnik nie stawił się na termin, sprawę jego odroczono). Oskarżeni bronili się sami. Świadkami obciążającymi byli urzędnicy policyjni, a pomiędzy nimi komisarz Macpolowski i policyant Glacer dostarczyli najwięcej dowodów winy. Prokurator wniósł dla każdego oskarżonego — prócz Józefa Domagalskiego — o 15 marek kary; dla ostatniego, któremu winy nie udowodniono, o uwolnienie. Wyrok zapadł następujący: mężczyzn skazano po 10 marek lub 2 dni, kobiety po 5 marek lub 1 dzień więzienia. Domagalskiego uwolniono podług wniosku prokuratora.

* **Zasądzenie kapłana.** Przed sądem ławniczym w Żninie stawał ks. prob. Laskowski z Kołdrąbia, oskarżony o obrazę pewnego parafianina-gospodarza, którego skarcił z kazalnicy za to, że w największe święto uroczyste w dyecezyi gnieźnieńskiej, w dzień św. Wojciecha, pracował w polu. Ów parafianin groził w liście do księdza L. pisanym, że wystąpi z kościoła katolickiego. Ksiądz Laskowski wykazywał, że jako duszpasterz był uprawnionym do skarcenia gospodarza. Mimo to jednak sąd skazał go na 60 marek kary lub 6 dni więzienia.

* **Za obrazę nauczycieli** skazał sąd ławniczy w Wągrówcu synów gospodarskich Franciszka Mieczysława i Jana Napierałów i Starzyńskiego z Popowa kościelnego na 200, 150 i 10 marek kary. Mieli się oni dopuścić obrazy nauczycieli Brussberga i Buczkowskiego.

* **Koźmin.** Na dwa miesiące więzienia skazał tutejszy sąd ławniczy pewnego zamiatacza ulic, który miał podczas strejku szkólnego grozić rektorowi, że go miotłą obije, jeżeli dziecka jego bić nie zaprzestaną.

* **Proces „Sokoła“** z Langendreer. W Bochum w Westfalii przed sądem ławniczym toczył się proces przeciwko kilkunastu członkom Towarzystwa gimnastycznego „Sokół“ z Langendreer, oskarżonym o to, że po rozwiązaniu zebrania na wezwanie policyanta natychmiast lokalu nie opuścili. Po wezwaniu do opuszczenia lokalu powstali członkowie, by go opuścić, gdy wszedł gospodarz lokalu i powiedział, by członkowie pozostali i wypili piwo, które zamówili, a policyantowi zaręczył, że dbać będzie o to, aby zebranie się nie odbyło. Członkowie dali się namówić i w lokalu pozostali, a nawet ci, którzy byli już wyszli, do lokalu powrócili. Policyant wyszedł z lokalu i powrócił z innym policyantem, poczem na ulicy zapisano członków. Oprócz trzech członków, którym policyant udowodnić nie mógł, że z lokalu zaraz nie wyszli, skazano każdego na 15 marek i koszta lub 3 dni aresztu. Policyantowi, który zeznawał jako zaprzysiężony świadek, zwracano od stołu sędziowskiego uwagę, by w pojedyńczych przypadkach, czy kto z członków pozostał w lokalu lub nie, na pewno nie twierdził, jeżeli nie zupełnie dokładnie pamięta.

Nekrologia.

† Ś. p. *Helena Gurtler z domu Kukułka,* dnia 1-go b. m. w Buku. R. i. p.

† Ś. p. *Szczepan Kaźmierczak,* dnia 1-go b. m. w Dobieszewicach, przeżywszy lat 69. Zwłoki złożono na cmentarzu parafialnym w Trlągu dnia 4-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Marceli Śniegowski,* dnia 31 go z. m. w Poznaniu w 93-im roku życia. R. i. p.

Od Redakcyi.

Panu H. S. (drogerzyście) w Poznaniu. — Owszem, chętnie nadesłaną notatkę zamieścimy, ale prosimy wpierw o podanie nazwiska, o nazwisku redakcya *bezwarunkowo* musi wiedzieć.

Panu Stanisławowi Z. w Wyrowie (G Śl.) — Pismo introligatorskie fachowe w niemieckim języku wychodzi w Berlinie p. t. „Buchbinder Zeitung.“ Czy takie pismo wychodzi także w języku polskim, o tem dowiedzieć się można w redakcyi tygodnika drukarskiego „Ognisko“ we Lwowie.

Pani Leokadyi M. w Poznaniu. — Treść wiersza dobra, ale forma tak słaba, że zamieścić nie możemy.

Panu Stefanowi P. w R. (Galicya). — Numer 20 zupełnie wyczerpany. Za korespondencyę i logogryf dziękujemy i zasyłamy miłe pozdrowienie.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

82)

(Ciąg dalszy.)

W pudełku tem znajdowały się dwa przepyszne, równe brylanty, znacznej wielkości, lecz Rosenbaum obejrzał je pobieżnie i twarz jego przybrała wyraz niekłamanego rozczarowania.

— Bardzo ładne — rzekł — ale nic nadzwyczajnego.

— Mój przyjaciel sprzedał by je tanio, bo właśnie potrzebuje gotówki.

— Nie, żałuję, takich brylantów mamy aż nadto! Jeżeli mi pan nie pokażesz czegoś lepszego, to nie kupię nic. Ja szukam tylko czegoś nadzwyczajnego, patrz pan, coś podobnego naprzykład...

Tu wyjął Rosenbaum woreczek z kieszeni i wyłożył na stole ogromny brylant, tak pełny ognia i blasku, że brylanty Manneringa wyglądały przy nim jak czeskie kamienie. Rosenbaum wziął go, podniósł do światła, obrócił kilka razy i spostrzegłszy ogromne przerażenie na bladej twarzy swego towarzysza, mówił dalej:

— Widzisz pan, to jest kamień! Co mówisz na taki ogień? Gdybym tu znalazł coś stósownego, zapłaciłbym każdą cenę! Muszę panu wyznać, że jeden z panujących domów zamówił u nas kilka takich brylantów!

— Czy wolno mi obejrzeć bliżej ten kamień? — zapytał Mannering bezdźwięcznym głosem, drżącą wyciągając rękę.

— Owszem, proszę.

— Był to ten sam kamień, który Mannering przed mniej więcej trzema miesiącami sprzedał w jednym z większych miast na Wschodzie. I trzymając go teraz w palcach patrzał na niego z takiem zajęciem, że zapomniał o całym świecie i mimowolnym ruchem podniósł okulary na czoło, aby mu się jeszcze lepiej przypatrzeć. A gdy nareszcie oddawał skarb ten Rosenbaumowi, spostrzegł, że oczy kupca były utkwione w jego twarzy tak badawczo, że przestraszony i zmieszany zesunął czemprędzej okulary na oczy. Ale po chwili odzyskał panowanie nad sobą i rzekł z przymuszonym spokojem:

— Jest to rzeczywiście przepyszny kamień. Skąd go pan masz?

— Kupiłem go przypadkiem przed trzema miesiącami w jakiemś mieście na Wschodzie!

— Ah, więc tutaj? W takim razie nie powinieneś pan się wyrzekać nadziei znalezienia jeszcze jednego takiego kamienia!

— Nie wiem, gdziebym go miał znaleść. Takich kamieni nie ma byle kto!

Mannering zamyślił się na chwilę.

— Ja mam! — rzekł nagle. — Pokażę panu kamień, zupełnie taki sam jak ten, nawet byś ich pan nie rozpoznał!

— Nie żartuj pan sobie ze mnie! Gdybyś miał taki kamień, nie czekałbyś tak długo z sprzedaniem go!

— Muszę najpierw wiedzieć, ile mi pan dasz za niego.....

— Ach Boże, wszakże mówiłem panu już, że za taki kamień zapłacę najwyższą cenę. Żądaj pan ile chcesz!

Milcząc sięgnął Mannering do kieszeni, wyjął woreczek i w następnej chwili położył na stole brylant podobny do brylantu Rosenbauma.

Oczy kupca błysnęły radością. Teraz był absolutnie przekonany, że znalazł tego, którego szukał i równocześnie wszystkie skradzione klejnoty Mainwaringów. Nareszcie osiągnął cel!

Ale ta sama myśl zajmowała pana Johnsona, który dosłyszał większą część rozmowy. I Bóg wie, jak by się to wszystko było skończyło, gdyby nie zbyteczna uprzejmość jednego z kelnerów, który wszystkie oczekiwania zawiódł okrutnie. Cisza panująca w numerze 4-tym podpadła kelnerowi — przypomniał on sobie, że siedział tam jakiś pan, który nic jeszcze ani do jedzenia, ani do picia nie zamówił, i chcąc okazać swoją gorliwość, rozsunął portyerę i zapytał o rozkazy.

— Wynoś mi się, — szepnął Johnson cichutko, ale bystre ucho Rosenbauma poznało głos Johnsona.

— Przeklęty, — syknął przez zaciśnięte zęby, — już mnie ten szatan znowu dogonił!

Na domiar złego podniosła się wskutek przeciągu portyera numeru 3-go w tej chwili tak, że Mannering dostrzegł twarz naprzeciwko siedzącego Johnsona. Widok ten okropne wywarł wrażenie. Zbladł jak śmierć i wyciągnął szybko rękę po swój brylant, ale pan Rosenbaum uprzedził go.

Stanął on teraz nagle wyprostowany i groźny, a Mannering był tak przerażony, że z trudnością zdołał tylko wyjąkać:

— Moje brylanty!

— One są pod dobrą opieką, — odrzekł mu Rosenbaum, — a pan zachowuj się teraz cicho i spokojnie i nie próbuj uciekać, bo innemu wpadniesz w ręce!

Twarz Manneringa posiniała ze strachu i złości. Nie zważając na słowa Rozenbauma, porwał się jak szalony, pchnął kupca tak silnie, że wywrócił go na ziemię i wypadł z kawiarni na ulicę.

W następnej jednak chwili stał Rosenbaum na nogach, przekonał się, że ma kamienie w kieszeni i puścił się w pogoń za uciekającym. Schwycić go już nie mógł, ale zobaczył go wsiadającego do doróżki. Nie namyślając się długo wskoczył także do doróżki stojącej przed kawiarnią i spostrzegł jeszcze to, że prześladowca jego Johnson wsiadał również do doróżki.

— Oby ten człowiek kark skręcił, — pomyślał, — już po raz trzeci psuje mi wszystko. Ale nie pozwolę sobie wydrzeć zwycięstwa.

Tymczasem skręciła doróżka z uciekającym na prawo i znikła z oczu ścigających. Ale Rosenbaum domyślał się, dokąd Mannering zdąża i kazał się najkrótszą drogą zawieść na ulicę Jefferson.

— Mannering sądzi, — mówił sobie w duszy, — że straciłem jego ślad, a ten drugi zabłądzi może! Przeklęty agent jakiś!

Ale Johnson nie był człowiekiem, dającym się łatwo wywieść w pole. Odgadywał on bardzo dobrze zamiary Manneringa i Rosenbauma i kazał dorożkarzowi jechać ciągle za dorożką Rosenbauma.

Gdy obydwaj stanęli na początku ulicy Jefferson, wyskoczył Rosenbaum z powozu, prosił dorożkarza, aby zupełnie wolno jechał dalej, a sam pobiegł pędem ku domowi pod numerem 545. I stanął tam właśnie w chwili, w której wysoka postać Manneringa znikała w sieni.

— Dzięki Bogu! Mam go nareszcie! — pomyślał uradowany, nie widząc, że Johnson, jego zły duch, uczynił zupełnie tak samo, i że również zbliża się ku mieszkaniu Manneringa.

Nie tracąc teraz chwili czasu, wbiegł na schody, wyjął z kieszeni pęk wytrychów i zabrał się do otwierania drzwi domu. Nie było to łatwą pracą — wytrychy nie nadawały się jakoś wcale do dziwnego zamku, i dopiero czwarty, czy piąty był odpowiedni. Rosenbaum pracował w pocie czoła i już — już miał zamek prawie otworzony,

gdy nagle położył mu ktoś rękę na ramieniu i światło latarki błysnęło mu w oczy.

— Stój! — odezwał się za nim głos szorstki, i jemu wprost wstrętny, — to ostatnia twoja robota! Nie opieraj się, bo nic na tem nie zyskasz! Aresztuję cię!

Nie mówiąc ani słowa obrócił się zaczepiony, rozpiął surdut i pokazał na lewej stronie przyczepioną do podszewki małą złotą gwiazdkę.

Ręka trzymająca latarnię, osunęła się natychmiast, a Johnson krzyknął zdumiony:

— Co u djabła, kto pan jesteś?

— Jestem Merrick, detektiw z Nowego-Yorku, — odrzekł Rosenbaum szyderczo, — a pan?

— Fikson, angielski agent tajnej policyi, — odpowiedział Johnson.

Obydwaj współzawodnicy patrzeli na siebie przez chwilę w milczeniu, potem odezwał się Merrick:

— Nie mylę się pewnie przypuszczając, że pan uważałeś mnie za wspólnika człowieka, którego zamierzam aresztować, i którego pan także zamierzasz uwięzić. Ponieważ przypadek sprowadził nas tu razem, przeto będzie pewnie najlepiej, że połączymy nasze siły i zabierzemy się razem do dzieła, bo w obec tego niebezpiecznego człowieka nie wiele mamy czasu do stracenia!

— I tak myślę, — odrzekł Fikson, — i jako kolega powiadam panu, że usłyszysz coś, czego się nie spodziewasz nigdy w życiu! Coś podobnego jeszcze ci się pewnie nie zdarzyło. Chodź pan!

Otworzyli teraz ostrożnie drzwi, weszli na górę i przy pomocy latarki Fiksona odszukali drzwi mieszkania Manneringa.

Merrick przyłożył ucho do drzwi.

— On jest tam, — szepnął.

— Tak, — rzekł Fiksan, — ale nie ten, którego pan szukasz! Ja panu powiem, kto to jest!

I wymówił cicho kilka słów, a Merrick cofnął się przerażony i mimowoli zaklął głośno.

W pokoju dał się natychmiast słyszeć szelest kroków — Mannering biegał tu i tam, otwierał szuflady i zamykał je i widocznie przygotowywał się do ucieczki.

Fikson zapukał do drzwi, wymienił właściwe nazwisko Manneringa i żądał wejścia. Ale w pokoju głębokie nagle zapanowało milczenie, nikt nie odpowiadał. Wtedy Merrick i Fikson rzucili się ku drzwiom, i po długich usiłowaniach udało im się nareszcie wyważyć je z zawiasów. Gdy przestąpili próg, rozległ się huk strzału i zaraz potem dał się słyszeć okropny, przerażający jęk.......

Mainwaring contra Mainwaring.

Dzień ostatecznej rozprawy sądowej, wyznaczonej na początek grudnia, zbliżał się szybko. Wypadki w Chesnes były zawsze jeszcze otoczone głęboką tajemnicą, a ciekawość publiczności zawsze jeszcze równie wielką.

Dzień przed terminem stali przy pomoście okrętowym w porcie, rozdzieleni tłumem, oczekującym przybycia okrętu, Ralf z panem Whiteney i Harold z Hugonem. I oni zdawali się oczekiwać kogoś, bo zwróceni w stronę morza, patrzeli z wytężoną uwagą na zbliżający się ogromny parowiec, na którego pokładzie pełno było pasażerów. Publiczność witała ich okrzykami radości, a oni dziękowali powiewaniem chustek, i tak wśród ogólnego zamieszania przybył parowiec do lądu.

Harold i Hugon byli pierwszymi na pomoście i z serdeczną radością ściskali ręce pana Thorntona, który jak zwykle uśmiechnięty i wesoły, w wybornym był humorze. Za nim szły Edyta z Felicyą i panią Hogarth, oraz cały zastęp służby.

— Ej, ej, Hugonie, ty uparty nieponiu, — zawołał pan Thornton, śmiejąc się, — co ja o tobie słyszałem! Uparty jesteś, nie ma co mówić! Edyta czeka oddawna na to, aby cię porządnie wyłajać, czekaj, z nią sprawa nie łatwa!

I posuwając córkę ku niemu, ujął rękę Harolda, i rzekł serdecznie:

— A teraz do ciebie, mój chłopcze! Muszę ci powiedzieć, że cieszę się bardzo, że jesteś synem jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakiego znałem! Domyślałem się już dawno, że po za skromnym sekretarzem Hugona tkwi coś więcej i dziwię się teraz, że cię od razu nie poznałem po twojem nadzwyczajnem podobieństwie do ojca, z którym prawdziwa łączyła mnie przyjaźń!

Harold głęboko był wzruszony, i pragnął podziękować za te słowa szczerej przychylności, lecz zanim zdołał usta otworzyć, już pan Thornton mówił dalej:

— Rozumiemy się, nieprawdaż? Nie dziękuj mi, mój chłopcze — ja wiem bardzo dobrze, jak i co myślisz — pomiędzy nami są wszelkie frazesy zbyteczne. Przedewszystkiem muszę teraz powierzyć opiece twej Felicyą, — dodał z wesołym uśmiechem, — bo ja mam inne zajęcie!

I nie czekając już odpowiedzi Harolda, zwrócił się do nadchodzącego właśnie Ralfa.

— Hallo! — krzyknął, — co ci jest, Ralfie? Wyglądasz, jak chmura pełna piorunów! Czyś zjadł coś niestrawnego?

— Tak, — odrzekł Ralf ponuro, usiłując daremnie ignorować podaną sobie rękę kuzyna. — Twego postępowania strawić nie mogę! Jak możesz w mojej obecności okazywać tyle uprzejmości człowiekowi, którego nienawidzę! Wiesz o tem bardzo dobrze! I nie tylko ty sam zdajesz się być z nim tak poufale! Jaki to wstyd dla nas!

— Ale kuzynie kochany, ja przecież nie mam z twoim procesem nic do czynienia. Jeżeli chcesz słyszeć moje zdanie to powiem ci, że ugryzłeś za wielki kęs i że go teraz połknąć nie możesz. Uznasz to wkrótce sam.

— Zachowaj twoje przekonania dla siebie, — krzyknął Ralf rozgniewany, — zobaczysz ty wkrótce, co się stanie!

— Dobrze, dobrze, — odrzekł Thornton z niewzruszonym spokojem, — zobaczymy kto ma słuszność!

Rozmowa zwróciła się teraz na inny temat, lecz Ralf był ciągle w złym humorze i odpowiadał na wszelkie pytania z widoczną niechęcią.

Słowa Thorntona wywarły jednak na niego pewne wrażenie i zdawały mu się wróżyć wielkie niepowodzenie.

Harold tymczasem poszedł naprzód z Felicyą. Z początku milczeli oboje, lecz spojrzenia ich i uścisk ręki były tak wymowne, że słowa zupełnie były zbyteczne. Gdy się oddalili już tak, że nikt ich słyszeć nie mógł, rzekła Felicya z promiennym uśmiechem:

— Twoje ostatnie listy ucieszyły mnie niezmiernie. Spodziewasz się zwycięstwa — i wyglądasz też zupełnie inaczej niż wówczas....... Ale chociażby sprawa twoja stała źle, to byłabym przyjechała! Nie wątpiłeś przecież o tem?

— Nie, najdroższa, nie wątpiłem o tobie ani na chwilę! Lecz obecność twoja nada teraz memu zwycięztwu dopiero właściwej wartości.

— Ach, jaka jestem ciekawa wszystkiego! Podług twego ostatniego listu musiało się tu stać coś nadzwyczajnego! Dziś na wieczór przyjdziesz naturalnie do nas! Ale prawda, byłabym zapomniała...... i ja przywiozłam ci coś ważnego! Własnoręczne pismo Hugona Mainwaringa, tyczące odnalezionego testamentu!

— Ah, doprawdy? — zawołał Harold zdumiony. — Jakim sposobem dostałaś ten dokument?

— Bardzo dziwnym, ledwie byś uwierzył! Otóż Merrick przysłał mi go tu z Ameryki, kilka dni przed naszym wyjazdem. Nie rozumiem, — dodała, rumieniąc się, — skąd on wie, że ja się twoją sprawą tak bardzo zajmuję?

— Zaraz ci to wytłomaczę. Otóż.......

— No, nie przywitaliście się jeszcze dosyć? — zawołał w tejże chwili tuż za nimi Wiliam Thornton.

Narzeczeni musieli się teraz rozstać, powozy bowiem stały już gotowe, aby zawieść nowoprzybyłych do hotelu.

Wieczorem zgromadzili się wszyscy w mieszkaniu Thorntona i tutaj miała Felicya sposobność wręczenia Haroldowi list Merricka wraz z zapiskami Hugona Mainwaringa. Harold szybko rozłożył zżółkty papier i następujące przeczytał słowa:

„Załączony testament ułożył mój ojciec, Ralf Maxwell Mainwaring, w nocy przed śmiercią, i unieważnił tym sposobem pierwszy testament, odwołując wszystkie swoje pierwotne rozporządzenia. Harold jednak wyniósł się do Australii i w skutek tego jest niemożliwem uwiadomienie go o zmianie położenia rzeczy. Nie można odnaleść miejsca jego pobytu, i dla tego majątek przechodzi w moje ręce.

Hugon Mainwaring."

Bezpośrednio pod podpisem znajdował się jeszcze krótki dodatek, nakreślony o kilka lat później:

„Ponieważ otrzymaliśmy pewną wiadomość o śmierci mego brata Harolda i wiemy, że umarł bezdzietnie, przeto ja sam zostałem jedynym jego spadkobiercą. Pomimo, że drugi testament mego ojca żadnej już teraz nie ma wartości, chowam go jednak, i to głównie dla tego, że mogę zmusić Hobsona do milczenia, w razie, gdyby mi znów groził odkryciem przeszłości. Jestem teraz prawnym właścicielem majątku mego ojca!

Hugon Mainwaring."

— Przeczuwam teraz, — rzekł Harold, kładąc papier do swego pugilaresu, — jakim sposobem dostało się to w rękę Merricka. Papier ten znajdował się bez wątpienia razem z testamentem w szkatułce od klejnotów, a ja w prędkości i wzruszeniu nie dostrzegłem go. Merrick zaś znalazł go w szkatułce, po wyciągnieniu jej z wody.

— Ale dla czego przysłał to mnie, a nie tobie?

— Bo przebiegły ten człowiek wiedział bardzo dobrze, jak bardzo się sprawą moją zajmujesz! Wiem, że stał w styczności z pewnym amerykańskim detektiwem, który jechał do Anglii razem z nami, i który na życzenie jego obserwował nas uważnie. Merrickowi sprawiło przyjemność wręczenie mi tego dokumentu przez ciebie!

— Bardzo rzeczywiście uprzejmie z jego strony. Ach, Haroldzie, jak ja niecierpliwie oczekiwałam chwili, w której ci oddam ten dokument.

— Wierzę ci najdroższa, bo wiesz, jaką wartość ma dla mnie! Przyczyni to się bezwątpienia bardzo do skrócenia procesu. Zadziwisz się niezmiernie zakończeniem sprawy. Za kilka dni nie będę już miał żadnej tajemnicy w obec ciebie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Następnego dnia zapełniła się sala sądowa już od rana wyborową publicznością, i z uderzeniem dziewiątej weszły obie strony nieprzyjacielskie wraz z ich adwokatami. Od niepamiętnych czasów nie było tu zgromadzonych naraz tylu najznakomitszych prawników. Po jednej stronie znajdowali się adwokaci: Hunnewall i Whiteney z Nowego Yorku, Upham i Blackwell z Londynu, po drugiej zaś stronie obydwaj bracia Barton i Sutherland z swoim dawnym przyjacielem, doktorem Mantage, do którego przyłączył się jeszcze radca królowej Roget. Byli to najsławniejsi adwokaci Ameryki i Anglii.

Na krzesłach, tuż koło galeryi, oddzielającej miejsca sędziów od publiczności, siedzieli: stary Skott i William Thornton, za nimi zaś Hugon z Edytą i Felicya.

Po wylosowaniu przysięgłych przeczytał przewodniczący akta, odnoszące się do przebiegu procesu i zakończył tem, że dziś, dla rozmaitych powodów, a mianowicie dla niedostatecznego przygotowania się na słuchanie świadków, udziela tylko słowa oskarżającemu, celem uzasadnienia oskarżenia.

Pan Whiteney wstał więc natychmiast i rozpoczął swoją mowę.

Najpierw przedstawił katastrofę w Chesnes, i wychwalał w gorących słowach uczciwość i szlachetność charakteru Hugona Mainwaringa, potem stwierdził pretensye Ralfa Mainwaringa i oskarżył wprost Harolda Skotta Mainwaringa o sfalszowanie testamentu. Używał przytem słów tak ostrych, że adwokaci strony przeciwnej czuli się zobowiązanymi do równie ostrej odpowiedzi. Tak minął pierwszy dzień — obiedwie strony walczyły zapalczywie, lecz sprawa rozstrzygniętą nie była.

Następnego dnia rozpoczęła się udowodnienie oskarżenia. Jako pierwsi świadkowie wystąpili obydwaj najstarsi urzędnicy banku Hugona Mainwaringa, panowie Elliot i Chittenden. Mieli oni świadczyć o nieskalanej uczciwości zmarłego, lecz gdy adwokaci strony przeciwnej zaczęli ich pytać i wzięli ich w prawdziwie „krzyżowy ogień," okazało się, że zmarły jednak niezupełnie był czasem wolnym od winy i że postępowanie jego nie zawsze zgadzało się z honorem i uczciwością. Inni świadkowie, sprowadzeni z dalszych okolic zeznawali, że pomiędzy starym Skottem a familią Mainwaringów zawzięta panowała nieprzyjaźń, a jeszcze inni znowu przysięgali, że stary Ralf Maxwell Mainwaring był tak wrogo usposobiony dla swego starszego syna, że o zmianie testamentu na jego korzyść ani mowy być nie mogło.

Ralf Mainwaring miał więc cały szereg osób, świadczących na jego korzyść.

Potem przyszła kolej na rzeczoznawców, których Ralf także dla siebie pozyskał. Mieli oni dowieść, że testament jest sfałszowany, ale ich dowodzenia nie wywarły żadnego wrażenia, ani na przysięgłych ani na publiczności, i poprzednie zajęcie się sprawą ustąpiło ogólnej obojętności.

Trzeciego dnia nareszcie wręczono panu Sutherlandowi depeszę, którą tak on jak i Harold z widocznym przeczytali niepokojem. Harold zbladł, obydwaj zaś Bartonowie, którym również telegram podał, naradzali się przez chwilę z adwokatem Montagiem, poczem wszyscy trzej wyszli z sali.

Ostatniego dnia po obiedzie przesłuchano jeszcze mnóstwo świadków i rzeczoznawcy raz jeszcze złożyli sprawę z ich badania. Dowodzenie winy oskarżonego skończyło się, a publiczność z gorączkową niecierpliwością oczekiwała teraz wystąpienia partyi przeciwnej.

Wśród głębokiej ciszy podniósł się teraz Sutherland, lecz zamiast do przysięgłych, zwrócił się do sędziego Binghama.

— Szanowny panie, — zaczął wolno, — już tylko kilka godzin dzieli nas od chwili, w której wyrok zapadnie. Ale ja sądzę, że po długich mowach moich kolegów są wszyscy tak zmęczeni, że nikt nie słuchałby z należytą uwagą zeznań tych świadków, których mój klient stawić tu zamierza. Najważniejszem zaś jest to, że głównego naszego świadka jeszcze na miejscu nie mamy. Proszę o przełożenie terminu na poniedziałek rano — zaręczam panu i sędziom przysięgłym, że wtedy wyjaśni się wszystko i że oskarżenie, ułożone bardzo starannie i mozolnie, upadnie samo z siebie.

Prosimy więc tylko o trochę cierpliwości!

Sędzia zgodził się na to żądanie i publiczność rozeszła się, więcej zaciekawiona, niż dotąd.

Następnego poniedziałku zdawało się, że tłumy ludzi rozbiją mury sądu.

Sala posiedzeń nie mogła pomieścić ani tysiącznej części ciekawych, a każdy czuł, że chwila stanowcza nadeszła, i że dziś wszystko się rozstrzygnąć musi.

Pan Sutherland wstał. W sali grobowe panowało milczenie.

— Szanowni sędziowie przysięgli, — zaczął głośno i dobitnie, — słyszeliście oskarżenie, rzucone na mego klienta. Słyszeliście zeznania świadków na korzyść oskarżającego — złożono tu ogromny materyał dowodowy i utworzono z tego dzieło, które może wydawać się wielkiem, a które teraz i rozpryśnie się i zniknie, jak bańka mydlana. Słowami nie będziemy walczyć, za nas mówić będą fakta niezaprzeczone. Faktami dowiedziemy wam, że testament, który uważacie za sfałszowany, tak prawdziwym jest jak biblia, i że Hugon Mainwaring przechowywał go u siebie przez wszystkie te lata! Tak samo nie zostawimy wam ani cienia wątpliwości co do tego, że znajdujący się pan Harold Skott Mainwaring jest synem wymienionego w testamencie Harolda i obecnie jedynym prawnym spadkobiercą całego majątku zmarłego bankiera Hugona Mainwaringa. I więcej jeszcze — wytłumaczymy teraz zagadkę morderstwa w Chesnes, i położymy tym sposobem koniec wszelkim podejrzeniom i oszczerstwom, któremi usiłowano znieważać naszego klienta!

Sutherland umilkł na chwilę, ciesząc się wrażeniem, jakie słowa jego na zgromadzonych wywarły, poczem zwrócił się do przewodniczącego i mówił dalej:

— Muszę pana prosić o pozwolenie uchylenia się od przyjętego zwyczaju wywoływania świadków... Nasz świadek znajduje się w przyległym pokoju i na rozkaz pojawi się tutaj, proszę tylko o to, abyś pan nazwiska jego nie wymieniał. Osobistość jego musi być najpierw stwierdzoną przez oskarżyciela i jego adwokatów!

Przewodniczący skinął głową i na znak Sutherlanda otworzono drzwi sąsiedniego pokoju.

Niemy świadek.

Cichy szelest dał się najpierw słyszeć, potem głośne i miarowe stąpanie mężczyzn, niosących jakiś ciężar. I teraz ukazało się sześciu służących sądowych z noszami, na których stała trumna.

Merrick szedł za nią w towarzystwie znanego wszystkim „pisarza" angielskich adwokatów, lecz teraz był pisarz ów w ubraniu londyńskiego urzędnika kryminalnego.

Na sali nikt prawie oddychać nie śmiał. Nosze postawiono tuż przy stole sędziów, a Sutherland, wzruszony, przejęty do głębi duszy niezwykle uroczystą chwilą, wstał i drżącym rzekł głosem:

— Proszę pana sędziego przewodniczącego o pozwolenie zdjęcia wieka trumny. Wzywam pana Whiteneya do stwierdzenia osobistości naszego świadka!

Na skinienie sędziego zdjęto natychmiast wieko trumny, i Whiteney blady, zmieszany, zbliżał się ku noszom. I gdy zajrzał do wnętrza trumny, cofnął się przerażony i stał przez chwilę nieruchomy, jak piorunem rażony.

— Boże! — wyjąkał po chwili sinemi ustami, — Boże Wielki! Toć to Hugon Mainwaring!

Pomiędzy publicznością zapanowało zamieszanie nie do opisania. Mężczyźni krzyczeli, kobiety mdlały, jedni wchodzili na ławki, aby o ile możności chociaż z daleka dojrzeć trupa bankiera, inni nawet przeskoczyli baryerę i zaglądali do trumny. Przewodniczący dzwonił nieustannie, sędziowie upominali i prosili o spokój, lecz dopiero po długim czasie zdołano jaki taki porządek zaprowadzić!

I gdy się nareszcie wszystko nieco uciszyło, zwrócił się Sutherland do Whiteneya z zapytaniem:

— Poznajesz pan w zmarłym Hugona Mainwaringa?

— Tak!

— Ale pan także stwierdziłeś tożsamość jego z trupem, znalezionym w bibliotece zamku Chesnes ósmego lipca?

— Tak jest! Dziwne, dla mnie zupełnie niewytłumaczone podobieństwo musiało mnie wówczas omylić. W każdym razie to jest tutaj niezaprzeczenie Hugon Mainwaring.

— Masz pan jakieś pewne na to dowody?

Tak! Hugon Mainwaring miał nad lewą skronią czerwoną plamkę, w kształcie blizny, sięgającej aż do włosów. Nie każdy ją widział, ale każdy, kto ją znał, zauważył ją natychmiast. I to właśnie miejsce było u trupa w Chesnes zaczernione od prochu, i w mojem wzruszeniu ani mi na myśl nie przyszło szukać owej plamy. Ale teraz, gdy widzę ją znowu, nie wątpię ani na chwilę, że tym zmarłym jest prawdziwy Hugon Mainwawring!

— Proszę pana Ralfa Mainwaringa o naoczne przekonanie się o tożsamości trupa z Hugonem!

Ralf wstał. Twarz jego, kurczowo wykrzywiona, siną była z przerażenia. Zbliżył się do trumny, spojrzał, i z głuchym jękiem zakrył twarz rękami.

— To on! On! — szepnął ledwie dosłyszalnie.

— Poznajesz go pan?

— Tak! Plama ta jedynym była znakiem, po którym ich można było rozpoznać!

— Kogo?

Ralf odwrócił się od trumny; odetchnął głęboko.

— Ta plama, — rzekł cicho, — była znakiem, po którym się rozpoznawało obydwóch braci. Były to bliźnięta — Harold starszy i........

— Hugon młodszy.

— Tak!

— I to więc jest Hugon?

— Tak! Ale w takim razie, — musiał to być Ha...... Nie! Boże, co to znaczy?

I zachwiał się tak, że go Sutherland i Whiteney podtrzymać musieli.

A gdy nareszcie usiadł na swem miejscu, zdawał się być o dziesięć lat starszym.

Potem przywołano jeszcze kilku bliższych znajomych Hugona, którzy jednogłośnie uznali, że to jego ciało, i teraz zabrał głos znowu pan Sutherland.

— Mości panowie, — zaczął z zwykłym sobie spokojem, — zanim dalsze przedłożę dowody, muszę celem wyjaśnienia ich dodać jeszcze kilka słów:

Zaraz po rozpoczęciu procesu nabraliśmy niezłomnego przekonania, że Hugon Mainwaring, mniemana ofiara dramatu w Chesnes jeszcze żyje, i że tylko on mógł być mordercą mniemanego Hugona Mainwaringa. Postanowiliśmy więc za jakąbądź cenę dostać go w nasze ręce. Angażowanemu przez nas detektiwowi udało się odszukać ślad jego. Ale w chwili aresztowania strzelił do siebie i zranił się tak ciężko, że pomimo wszelkich starań dwóch znakomitych lekarzy, trzy dni później umarł. Na szczęście dosyć było czasu na to, aby go nakłonić do przyznania się do winy, i to w obec wysłanych przez nas panów Bartonów i Montagne. Leżąc na łożu śmiertelnem dyktował im w obecności kilku świadków, którzy także się tu znajdują, to, co teraz pan Montagne przeczyta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Zalew kopalń soli w Inowrocławiu.

Potężny żywioł uwziął się na Inowrocław — woda chce zagładzić „Hohensalzę'', ażeby na niej wzrósł znów stary Inowrocław!

W Inowrocławiu istnieją *kopalnie soli, fiskalna i akcyjna warzelnia soli,*



Wnętrze królewskiej (fiskalnej) kopalni soli w Inowrocławiu.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnie dla „Pracy" pan Włodzimierz Suszczyński, właściciel Atelier Victoria w Inowrocławiu przy ulicy Kolejowej 5).

a oprócz tego tak często wspominane w gazetach *„solanki''* t. j. *zakład kąpielowy z łazienkami, ogrodem, restauracyą, domem kąpielowym* itd., należący do miasta.

Kopalnia fiskalna leży na wschodnio-południowej stronie miasta, kopalnia akcyjna na południowej, „solanki'' na południowo - zachodniej stronie. Cokolwiek dalej i jeszcze więcej na zachód znajduje się warzelnia soli.

Jak wiadomo, w połowie czerwca r. b. zalała woda w Inowrocławiu kopalnie soli, o czem „Urzędowy monitor hakatystyczny'' „Kuj. Bote'' tak pisał: „W zeszłym tygodniu nastąpił w tutejszej kopalni soli znaczny przypływ wody. Na nasze zapytanie otrzymaliśmy od Zarządu „Kopalni soli i sody w Inowrocławiu,'' następną odpowiedź: „Fiskalna kopalnia soli „Kronprinz'' spuszcza wszelką wodę, której zużyć nie może, do naszej — jako niżej położonej — kopalni. Te dopływy fiskalne z dniem 1 czerwca znacznie się powiększyły, w nocy z 13 na 14 były tak wielkie, iż nasze dwie pompy nie mogły im podołać, musieliśmy więc na czas nieograniczony,

począwszy od 14-go b. m.,. zaprzestać wydobywania soli. W dniu tym zabrał się także i fiskus do wydobywania własnych znacznych mas wody. Rezultatów trzeba więc odczekać.“

W końcu zamieścił „Kuj. Bote“ jeszcze następny dopisek:

„Rozchodzi się pogłoska, że woda tak silnie do kopalni napływa, iż dwie pompy nie mogą jej usunąć. Jest to omyłka. Woda opada. Niebezpieczeństwo, o jakiem rozpisują się zamiejscowe gazety, nie istnieje.“

Że powyższy dopisek „urzędowego“ organu był zagadkowy, o tem świadczy następująca w nr. 141 (niedziela, 23 czerwca) „Dziennika Kujawskiego“ zamieszczona notatka:

„W zalanych tutejszych kopalniach soli woda mimo starannego pompowania na krok nie ustępuje. To też krążą w mieście i okolicy najróżniejsze pogłoski, świadczące o wielkiem zaniepokojeniu ludności. Powiadają pomiędzy innemi, że w miarę silniejszego wydobywania wody z kopalń, jezioro w Tucznie opada, chociaż odległość Inowrocławia od Tuczna wynosi 1 i pół mili. Wobec takich i innych — o których nawet wspominać nie chcemy — wiadomości, wzbudzających popłoch w szerokich kołach, jesteśmy tłómaczami myśli ogółu, jeżeli żądamy, aby zarządy kopalń wypowiedziały bez ogródki publicznie, jak sprawa się przedstawia. Wyjaśnienia bowiem, jakieśmy niedawno temu czytali w tutejszym organie „urzędowym,“ dają tylko podstawę do tem większego zaniepokojenia mieszkańców naszego miasta. Na tle tego „wyjaśnienia“ wyrastają najfantastyczniejsze wyobrażenia o niebezpieczeństwie, zagrażającem miastu, które przez to może tylko finansowo ucierpieć“.

W cztery dni później pisze „Dziennik Kujawski“ w nr. 144 (czwartek 27 czerwca) co następuje:

„Woda w kopalniach soli wciąż jeszcze przybiera; pompy pracują bez ustanku, lecz psują się podobno dość często. Wody znajduje się w kopalni tak wiele, iż czołnem jeżdżą, i to jeszcze tylko tam, gdzie drągiem do dna sięgnąć można. Przy prywatnej kopalni stoi woda podobno 8 metrów wysoko. Pracuje 2 nurków z Zabrza po kilka godzin dziennie, rozbierają oni maszyny, stojące obecnie w wodzie. Za godzinę pracy otrzymują 20 mk. Kilku inżynierów stara się podobno otwór zatamować, który obecnie jest kilkanaście metrów szeroki i coś dwa metry wysoki. Otwór ten znajduje się mniej więcej w miejscu, gdzie nowy sąd stoi. Także trzech geologów (geologia — nauka o ziemi, jej pokładach i t. d.) wierci w polach na północ od Inowrocławia, jako też w ulicy Parkowej i t. d.; chcą oni zatamować lub skierować w inną stronę podziemne źródło, które jak już pisaliśmy, ma mieć związek z jeziorem w Tucznie. Nieszczęście to pociąga jeszcze inne za sobą. Woda w Noteci i kanale stała się słoną, ryby zdychają bardzo licznie.“

Prawie jednocześnie zamieścił „Kuj. Bote“ następujący, pochodzący „z najlepiej poinformowanej strony“ komunikat:

„Dotychczas mimo wszelkich starań nie udało się odszukać źródła, z którego woda dostała się w pokłady soli; domyślać się go można gdzieś na kilkaset metrów od miejsca, którem woda do kopalni spływa. Kopalnia żadnej winy nie ponosi, gdyż nieprawdą jest, iż przed zalewem poszukiwała wody za pomocą wierceń, co miało rzekomo spowodować tę katastrofę. Z powodu dotychczasowego braku wody w kopalni królewskiej, ta dotychczas nie posiadała żadnych urządzeń pompowych, lecz teraz zaprowadzono odnośne urządzenia. Przez ten czas prawie wszystka woda przechodziła do prywatnej kopalni, która leży niżej. Ponieważ ta swemi pompami wody pokonać nie mogła, więc woda ciągle wzrastała i musiano zaprzestać wydobywania soli. Rozpuszczono tylko młodych robotników, inni pracują wciąż nad pokonaniem wody. Woda stale wzrasta, choć nieznacznie. Kopalnia pokłada swe nadzieje w nowosprowadzonych pompach oraz w tem, że z czasem woda nie będzie tak silnie napływała. Celem zbadania przyczyny zalewu urząd solny zarządził liczne wiercenia w okolicy. Król. kopalnia rozwija gorączkową czynność. Obecnie nie istnieje *żadne niebezpieczeństwo dla miasta całego,* wszelkie urzędy śledzą bacznie rozwój wypadków. Uczyni się wszystko co będzie możliwe celem uniknięcia wszelkich złych następstw. Jeżeli atoli woda wciąż napływać będzie; jeżeli nie będzie można temu zaradzić, wtenczas może być, iż pozwoli się wodzie zalać kopalnie. Tak czy owak istnienie saliny jak i sodowni w Mątwach jest zapewnione, gdyż przez odbiór słonej wody będą mogły pokryć swoje zapotrzebowanie.“

„Dziennik Kujawski“ zamieściwszy powyższy komunikat, dodaje od siebie:

„Nam także donoszą, że tak źle znowu nie jest, jak pisaliśmy niedawno temu. Czołnami nie jeżdżą, ani też nie ma wody 8 metrów wysokiej. W prywatnej kopalni stoi woda w gankach $^3/_4$ metra wysoko, w szybie blisko 3 metry. W ciągu 24 godzin napływa około 2000 kub. metr. wody. Zjazd do kopalni można uskutecznić tylko szybem królewskim. Pompy pracują wciąż, Kotły parowe pracują nadmiernie, nawet urządzono windę, która blisko 3 kubiczne metry wody naraz zabiera; przy jednej pompie, która się zepsuła, pracują nurkowie. Przy miejscu, którem woda dochodzi, pracują górnicy, by dotrzeć do piaskowca, który w pobliżu się znajduje, gdyż zatykanie źródła zawodzi, bo woda zaraz w innem miejscu robi sobie dziury w soli. Górnicy pracują bez ustanku, zmieniając się co 6 godzin. Obecnemi urządzeniami do pompowania wody się nie pokona, dla tego sprowadzają nowe maszyny, gdyż inaczej nastąpiłby zupełny zalew.“

W tej tak bardzo ważnej dla Inowrocławia sprawie zabrała wreszcie — po miesięcznem milczeniu — głos rada miejska. Na zapytanie co do zalewu kopalń radnego Rosenberga odpowiedział burmistrz dr. Arter i przewodniczący rady miejskiej dr. Levy na odnośnem lipcowem posiedzeniu rady mniejwięcej co następuje: „Podług doniesień z wiarogodnej strony *nie ma żadnych obaw, co do trwałych poszkodowań naszego przemysłu, gdyż koła techniczne są przekonane,* że wodę będzie można z czasem pokonać, jest to sprawa czasu i pieniędzy. Obawy właścicieli, jakoby kamienice, stojące na szachtach, miały się zapaść lub popękać, są bezpodstawne. Król. urząd górniczy zaręczył, iż powierzchnia ziemi przez zalanie kopalń się nic nie zmieni“.

Niestety, dotąd niebezpieczeństwa wcale nie zdołano usunąć, gdyż wszelkie usiłowania nad wydobywaniem wody okazały się bezskutecznemi: woda wciąż wzrasta, prywatna kopalnia jest już prawie zupełnie zalaną a po niej przyjdzie kolej na wyżej położoną kopalnią fiskalną.

* * *

Pisząc o zalewie inowrocławskich kopalń solnych, zainteresujemy z pewnością czytelników, gdy im podamy następujące szczegóły o kąpielach słonych w Inowrocławiu, spisane na mocy dokumentów historycznych i innych:

Podług dokumentu, w którym Kazimierz Jagiellończyk zatwierdza prawa i przywileje nadane Inowrocławiowi przez poprzedników, miało miasto Inowrocław już słone kąpiele w roku 1450. Później znajdujemy wzmiankę o warzelni saletry, która przerabiała wydobywany tu ług solny. Solne źródła w Ciechocinku znane są od stu lat mniej więcej a w okolicy Słońska podobno odkryto urządzenia starych warzelni. Przy kopaniu studni natrafiono w przeszłym wieku tutaj na pokłady gipsu, który zwykle znajduje się w bliskości soli kamiennej.



Ogólny widok królewskiej (fiskalnej) kopalni soli w Inowrocławiu.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnie dla „Pracy" pan Włodzimierz Suszczyński, właściciel Atelier Victoria w Inowrocławiu, przy ulicy Kolejowej 5).

Te wiadomości spowodowały sławnego górnika p. v. Oeyerhausen'a, że r. 1822 udając się do Wieliczki, zatrzymał się w Inowrocławiu, aby grunt zbadać. Orzekł też, że sól bardzo prawdopodobnie tu się znajduje. Aleksander Hunbold, który tu na życzenie rządu zjechał również był tego zdania. Robiono jednak poszukiwania jakie 10 lat naprożno. Dopiero przy kopaniu studni na rynku natrafiono na silne źródło słone, które wytrysło 10 metrów w górę i zawierało 5 prc. soli. Do picia była ta woda niemożliwa, miała jednak służyć w razie ognia a dawniejszy inspektor solanek ciechocińskich Rost chciał i tu solanki założyć — umarł jednak nie doprowadziwszy do skutku zamiaru. I znowu z 10 lat sprawa spoczywała. Później kupiec Lewy Michał przedstawiwszy całą ową słoną kwestyę ministrowi handlu hr. Itzenplitz'owi otrzymał pozwolenie poszukiwania soli na swym gruncie i natrafił na pokłady różnych minerałów ale soli się nie dokopał.

Dopiero wrocławski urząd górniczy z radcą swym Bunge'm w r. 1869 zajął się wierceniem przy ulicy Pakoskiej i przy żydowskim cmentarzu. Roboty zostały z niewiadomego powodu przerwane — ale równocześnie zrobiono układ z kowalem Żarniewiczem co do kupna stosownego kawałka gruntu przy szosie toruńskiej. Tutaj w głębokości 415 stóp znaleziono po roku sól, przewierciwszy pokład gipsu, który zaczynał się 351 stóp głęboko. Odtąd wiercono głębiej aż do 654 stóp a pokład soli się nie kończył. Szukano soli w różnych punktach i oznaczono, że pokład ma 1800 m. dług. 800 m. szerok., tak, że pokrywa przestrzeń $1^1/_2$ mil. kwadr. m. i mieści przeszło milion tonn soli. Według zeznań geologów jest pokład owej soli starszym od pokładów w Wieliczce. Warzelnia zbudowana została zaraz po otwarciu kopalni — budowę przeprowadził radzca Besser, który był też dyrektorem warzelni 25 lat; 1873 r. zaczęto w niej pracować. Ług solny otrzymuje warzelnia z kopalni fiskalnej przy szosie poznańskiej składającej się z trzech kopalni — wschodniej, Basta i Pilkego. Przesyconą solą wodę, która gromadziła się w kopalni rurami, prowadzono do warzelni i tu wydobywano z niej — ług, sól kuchenną — i sól bydlęcą, gdy jednak kopalnia przy szosie toruńskiej z powodu swej znacznie większej głębokości zaczęła wszelką wodę gromadzić i trzeba było ją kupować dla warzelni — szukano energicznie podziemnego strumyka, któryby można eksploatować w tym kierunku. Znaleziono go w północnej stronie i teraz przeszło 600 metrów kopią idąc za jego kierunkiem — nie odkrywszy końca. Słony ten strumyk wody przeprowadzony rurami do basenów stosownie urządzonych przesyca się solą — filtruje i gromadzi w basen, skąd maszyną wznoszą go do 15 metrów wysokości, aby powiększyć naturalny spadek prowadzący wodę tę do warzelni a raczej do dwóch basenów, z których każdy 1000 kbm. zawiera i w tej kopalni fiskusowej tyle tylko soli wykopuje ile do przygotowania ługu solnego potrzeba.

Sól inowrocławska rozchodzi się głównie po prowincyi pozn. i Prusach — sól kąpielowa i bydlęca wysyłana jest i dalej. Rocznie wydobywają tu przeciętnie 350 000 ctr. soli kuchennej — 30 000 bydlęcej — 5000 Pfannenstein — 900 kbm. kąpielowej — 500 kbm. ługu.

Cierpieć i kochać!

Kiedy na krzyż Twój, o Jezu spoglądam,
Cierpieć i kochać, to moje życzenie;
Cierpieć i kochać chcę, pragnę i żądam.
Gdzie krzyż, tam miłość, gdzie miłość, zbawienie.

Cierpieć, to życia mego powołanie,
Cierpieć, lecz z Tobą, dla Ciebie jedynie;
Kochać, to ciągłe serca zmartwychwstanie,
To kwiat niezwiędły na szczęścia ruinie.

Miłość i boleść, ta dwójca mej duszy,
I myśl i czucie i czyn w jedno łączy,
A gdy łez złudnych brudny zdrój osuszy,
Łzami zbawienia w sercu się rozsączy.

Cierpieć i kochać! Kto pojąć wydoła,
Tę świętą, krwawą na krzyżu ofiarę,
Łzami zalany do Ciebie zawoła:
Dzięki Ci, Boże, żeś dał sercu wiarę!

Bo kto nie wierzy, ten kochać nie umie;
A kto nie kocha, w rozpaczliwej chwili,
Gdy szuka pociech w zwodniczym rozumie,
Naprożno serce i myśl swą wysili.

Cierpię, bo kocham. Boleść bez miłości
To chmura, w której gwiazda nie zabłyśnie,
To wiatr, co z suchą gałązką się pieści,
To skała, z której ruczaj nie wytryśnie.
Kocham, więc cierpię. Miłość bez cierpienia
To żal, co serce bez oddźwięku głosi,
To łza, co spada z błękitu sklepienia,
Lecz tylko zimną opokę porosi.

Pod światłem szczytowem.

Najwyższe kryterye dla postępowania ludzkiego mogą być różne, według różnic, zachodzących pomiędzy położeniami i naturami ludzi i narodów. Muszą być one zawsze, jeżeli mają być najwyższemi, brane ze szczytowych punktów ludzkiego rozumu, uczucia i sumienia, ale mogą być bardzo różne.

Mówmy o sobie. Postarajmy się najwyższe kryteryum postępowania dla siebie ustanowić.

Jesteśmy narodem pozbawionym wolności i ujętym w pierścień sił, które, albo grożą nam jako narodowi, zagładą, albo grozić nie mogąc, dla tych lub owych przyczyn, zagłady naszej pragną.

Czy niewola należy do tego królestwa, które ludzkość, w najwyższych swych sferach myślenia i dążenia, nazywa Królestwem Bożem, Królestwem Dobra? Dwóch odpowiedzi na to być nie może. Niewola, oddająca człowieka bądź pojedyńczego, bądź zbiorowego, pod nieograniczoną przez prawo władzę innego, takiegoż człowieka, jest jedna z najciemniejszych i dla świata ludzkiego najszkodliwszych odmian zła.

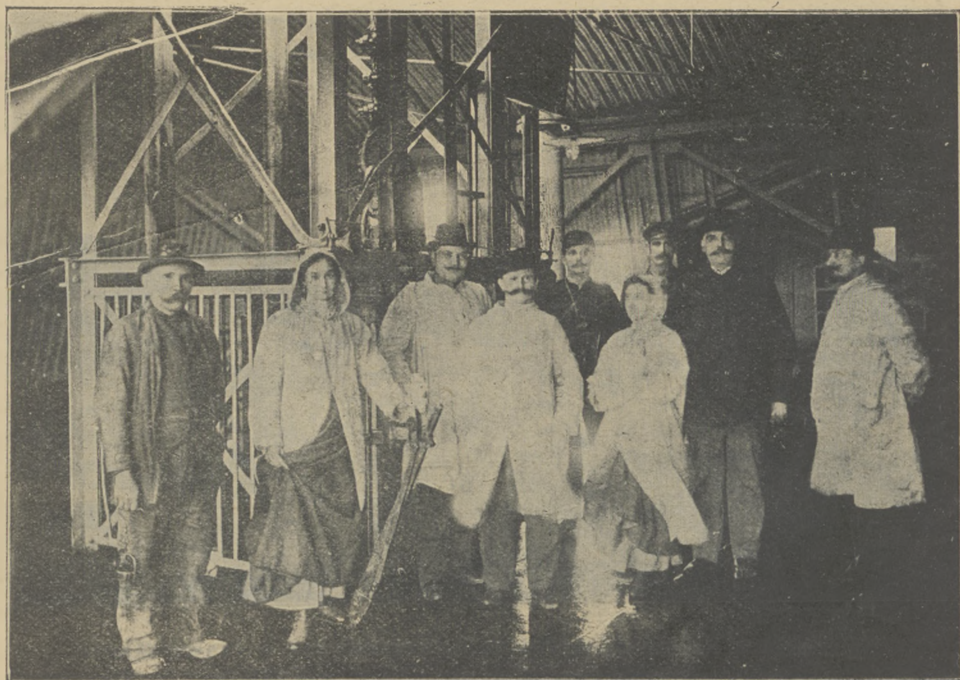
Dlaczego?

Czyż dlatego, że wytwarza zdrój nieprzebrany cierpień nieprzeliczonych? I dla tego także, ale istnieje wzgląd nad ten jeszcze ważniejszy. — Trzeba tu tylko ustanowić z góry rozróżnienie pomiędzy wolnością a swawolą, która to ostatnia jest także poddaniem się człowieka w niewolę pewnego rodzaju. Ale bez wolności w rzeczywistem jej znaczeniu, — które tu określać byłoby zbyt długo i może niepotrzebnie, — cnoty ludzkiej nie ma, a przynajmniej osięgnięcie i utrwalenie jej jest tak trudnem, że w większości wypadków nie podobnem. Suma cnoty ludzkiej w niewoli zmniejszać się musi i jeżeli druga trwa długo, to pierwsza zanikowi zupełnemu uledz musi.

Jakim sposobem tak się zdaje?

Przez tłumienie dobrych energii naprzód. Niewola, stawiając przeszkody dążeniom prawnym, okuwając w bezczynność zdolności do czynu, skazując na głód i pragnienie umysły i serca, tłumi w ludziach energie dobre, a że natura próżni nie znosi, więc na miejsce tłumionych dobrych, wstępują energie złe. Wiedział już o tem starożytny Krezus, kiedy u podbitych Syryjczyków wzbudzał żądzę zbytków, zabaw i rozkoszy, na zaspokojenie ich złoto swoje ofiarując.

Następnie nienawiść. W niewoli nienawiść rzekami bystremi wlewa się do serc ludzkich i zalewa w nich miejsce miłości tak dobrze, że ludzie zatracają pojęcie różnicy dwu tych uczuć i nienawidząc tylko, wyobrażają sobie, że kochają. We krwi i mózgu narodów, zostających w niewoli, znajduje się większa, niż u innych, przymieszka żółci. Sprowadza to zatrucie krwi i



Zjazd do królewskiej (fiskalnej) kopalni soli w Inowrocławiu.
(Zdjęcia fotograficznego dokonał specyalnie dla „Pracy“ pan Włodzimierz Suszczyński, właściciel Atelier Victoria w Inowrocławiu, przy ulicy Kolejowej 5).
(patrz artykuł: „Zalew kopalń soli w Inowrocławiu“).

mózgu, które objawia się skłonnością do podejrzliwości, kłótni, znienawidzania nietylko obcych, ale i swoich, słowem, do wszystkich możliwych przeciwstawników miłości.

Następnie jeszcze: wieczny smutek. — Niewola, to pałac wiecznego smutku. Nie mogą całkowicie ujść przed nim nawet ci, którzy zanurzają się w kąpielach, z różnych szampanów tego świata sporzadzanych. Nawet z kielicha, napełnionego szampanem, smutek musi nieraz zaglądać w oczy i wżerać się w mózg niewolnika. A cóż mówić o tych, liczniejszych jednak, którzy zamiast czar z pijaną rozkoszą, do warg i oczu swych ustawicznie przybliżają obrazy mąk i krzywd swojego narodu!

Mogą nawet mieszkańcy tego strasznego pałacu wyprawiać nieraz w jego salonach festyny, wesoła, mogą ślizgać się w tańcu po jego podstępnych posadzkach. Nic to. To tylko przeradzanie się w nich energii dobrych w energie złe, albo płonne, ale są oni smutni. Ale jakimże pierwiastkiem dla życia i zdrowia ludzkiego jest smutek? Ciągły smutek, mówi przysłowie biblijne, jak robak drzewu, sile człowieka szkodzi i zdrowiu duszy jego także, cieplu serca, jasności rozumu.

A teraz — trwoga. Niewolnik, człowiek smutny, jest także człowiekiem strwożonym. — Strach paraliżuje w nim wiele sprężyn najdroższych: prawość, szczerość, popęd do ruchu i czynu, uczucie ludzkiej godności. Są tacy, którzy go nie doświadczają i ci powstrzymują drogocenne sprężyny od złamania się ostatecznego. Ale wielu, doświadcza, drży, milknie, nieruchomieje, a wśród nieruchomości zastyga i usypia. Dzieją się tu dramaty niewidzialne, lecz których żadne pióro opisać i żaden krzyk wykrzyczeć nie byłyby w stanie. Mogący silną stopą po drogach życia kroczyć, pełzają, a ci, co zdolni są, w złotem słońcu idąc, złote ziarna po ziemi rozsiewać, w ciemnych norach żrą serca własne wstydem i żalem. Sam Owidyusz nie wyśnił metaformoz takich, jakich tu pełno. Odbywają się tu w cichości i grubych zmrokach przemienienia lwów w robaki, orłów w żółwie, serc bijących w nieme kamienie, ramion przeznaczonych do dźwigania globów, w drżące na zimnych wiatrach gałęzie osikowe...

Pospolicie znanem i powtarzanem

jest zdanie, że niewola psuje ludy. Oto kilka tylko terminów z nomenklatury sposobów, jakiemi to czyni. Jest ich moc wielka. Obsiadają one Psychę narodu, wysysają i wyżerają z niej moc, czystość, ognie święte, wsączają w nią ciemne płomienie i niezliczone trucizny. Z pokolenia w pokolenie czynią to coraz zjadliwiej, głębiej i tak wyrodnieją narody. Wiedzieli już o tem Rzymianie starożytni, gdy z drwiną na ustach deptali po karkach Grekulusów, zwyrodniałych wnuków Peryklesowej Grecyi.

Czemże tedy jest w momentach takich obrona interesu narodowego? Jest ona bronieniem go od zepsucia i zwyrodnienia, od zatrutych ostrzy i żądeł tego wiecznego antagonisty wszelkiego dobra, któremu na imię Zło.

Jestże to kryteryum dla postępowania ludzkiego dość wysokie? Nikt chyba nie da odpowiedzi przeczącej. Owszem, jest to kryteryum jedno z najwyższych, jakie ludzkość dla dążeń swych kiedykolwiek dostrzedz zdołała. Mieści się na szczytowym punkcie jej widnokręgu duchowego i tam przebywa, gdzie jaśnieją jej ideały powszechne i wieczne.

A teraz zagłada.

Czy połykanie człowieka przez człowieka, czy spychanie do śmiertelnych zapasów ludzi przez ludzi, zgadza się z tym znowu ideałem szczytowym i powszechnym, który w mowie ludzkiej nosi nazwę sprawiedliwości? Każdy odpowie, że nie. Nawet ten, kto akty podobne dokonywa lub dokonywać ich pragnie, pod taką lub inną maską rzeczywiste rysy swoje ukrywać usiłuje.

Gdyby nawet ze szczytu Synai nie rozległo się było nad ziemią potężne słowo: nie zabijaj! jeszczeby prosty rozsądek wskazał każdemu, ktoby się na niego zdobyć zdołał, że wszyscy ludzie, jednostajnie na jednej ziemi urodzeni, jednostajne prawo posiadają do życia, aż po naturalny kres jego biegu. Ale rozległo się tam wielkie słowo i na prawie, któreby może sam prosty rozsądek wynaleść potrafił, złożyło pieczęć świętości.

Nie ma prawa nad to świętszego. I może właśnie ta świętość jego stała się przyczyną niewysłowionej odrazy, jaką człowiek, choć trochę wynurzony ze stanu dzikości, uczuwa dla ludożerstwa.

A czemże jest uśmiercanie narodu przez inny naród, jeżeli nie ludożerstwem? Nie przywykliśmy tylko aktów takich po imieniu nazywać, ale w gruncie rzeczy są one powoli i kunsztownie dokonywanem ludożerstwem. Żaden kunszt i żadna maska nie zdołają odmienić w nich samej istoty ludożerstwa. Że krew zjadanego po wargach zjadacza nie spływa, że kości w zębach nie chrupią i przeżute muskuły przełyku nie napełniają, to nic nie znaczy, to tylko kwestya formy i przeniesienia zjawiska z dziedziny widzialnej do niewidzialnej. Aby przekonać się o tem, trzeba tylko nie ograniczać myśli i odczuwania do widnokręgu fizycznego i nie odrębniać połykania ciała od połykania duszy człowieka przez innego człowieka, bo oba te procesy najczęściej razem chodzą i drugi ani mniej od pierwszego boli, ani w mniejszej przeciwstawności zostaje z wielkiem słowem: „nie zabijaj!“

Otóż i znowu znajdujemy się na szczytowym punkcie duchowego widnokręgu ludzkości i zdejmujemy z niego kryteryum postępowania w kie-



Cesarzowa Eugenia
przypomniała się znów światu. W ostatnim czasie złoż ł małżonce ostatniego cesarza Francyi Napoleona III wizytę cesarz Wilhelm II w Bergen w Norweg i. Cesarzowa Eugenia, z domu hr. Montijo, liczy dziś 81 lat. Cesarz Wilhelm miał z nią kilkogodzinną rozmowę. Casarzowa Eugenia jest bardzo pobożna. Wizyta miała bezwarunkowo służyć jako środek ku zbliżen u się niemiecko-francuskiemu.

runku interesu narodowego. Broniąc narodu od zagłady, stajemy w obronie sprawiedliwości, ideału powszechnego i wiecznego.

I oto jakim sposobem kwestya staje pod światłem wieczności i od niego otrzymuje kryterya najwyższe.

Nie na tem przecież koniec. Ów interes narodowy, zbiorowy i ogromny, na polu stosunków ludzkich rozpada się na mnóstwo interesów poszczególnych, mniejszych, malutkich. Czy i dla nich kryterya wymienione ustanawianemi być powinny?

Niezawodnie. Nad każdym poszczególnym interesem narodowym, — powiem więcej — nad każdym pojedyńczym postępkiem człowieka pojedyńczego, zasada interesu narodowego, obrony czy popierania tego interesu panować powinna. Rzecz tylko w tem i o to tylko idzie, w jakiem świetle interes ten „ustawiać“ przed sobą powinniśmy.

Otóż, nie należy stawić interesu narodowego, bądź zbiorowego, bądź poszczególnego, w świetle swoich namiętności, ani w świetle swoich marzeń, choćby najponętniejszych, ani w świetle dorazowych, ale pozornych korzyści. Stawić go należy w świetle zasad. Jakich zasad? Tej przedewszystkiem, że to, co jest złem, gdy przychodzi dla nas od innych, jest również złem, gdy przychodzi dla innych od nas. Są na to słowa bardzo proste i, jak wszystko co proste, głębokie: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło“. Dlaczego nie czyń? Dlatego naprzód, że, czyniąc to, czynisz źle, więc psujesz swoją duszę, obniżasz swoją wartość, umniejszasz swoją zdolność do dobrego życia, a potem dlatego, że to miecz obosieczny, którego jedno ostrze prędzej czy później ku tobie samemu się obróci.

Następnie ta zasada, że „w kuźni czarta“ (Krasiński) wyrabiają się narzędzia, któremi, gdy człowiek czy naród długo się posługuje, to tak się uczernia i takiej czarnej sadzy się najada, że staje się albo życia niegodnym, albo do życia niegodnym, albo do życia niezdolnym.

Przed laty wyszła była u nas broszura — przez bardzo zresztą szanowne i utalentowane pióro skreślona — p. t. „Obrona Narodowa“, doradzająca — w chwili zapewne bólu i gniewu nad siły — szerokie, albo powszechne czynienia użytku z hubki, dynamitu, skrytobójczego noża, zaplotnych strzałów itd. Coś mię od tej broszury odtrącało, coś we mnie przy czytaniu jej krzyczało: nie! nie, nie! Aż z tego oporu zrazu instynktownego prędko wyjrzało przekonanie, że to jest „kuźnia czarta“ i że gdyby naród mój na pracownika do niej wstąpił, takby się zasmolił, takby się sadzy piekielnej najadł, że jużby go i wrogowie zabijać nie potrzebowali; samby od trucizny zmarł, a gdyby i przeżył... z krwią zbrodniarza w żyłach... nie daj Boże!

W kilku słowach resztę myśli swoich zamknę. Żadne niesprawiedliwości, żadne gwałty nad czyjemkolwiek sumieniem, nie wiem, jakiemkolwiek dobrem dokonywane, żadne nienawiści, i poniewierki, żadne kłótnie, przeklinania i wyklinania, interesowi narodowemu, zbiorowemu, ani poszczególnemu sprzyjać nie mogą. Jeżeli czasem zdaje się, że sprzyjają, jest to pozór, który zawiedzie, korzyść jedno-

stronna, która ze strony drugiej przyniesie straty niezawodne.

Skutecznie wojować ze złem, można tylko orężami, sporządzonemi w kuźni Dobra. Skutecznie służyć interesowi narodowemu można tylko przekładaniem interesu tego nad swój własny, ofiarnością, wiernością, odwagą, czynem silnym i rozumnym, ulepszeniem samego siebie i wszystkiego, co dokoła: ziemi i jej płodów, ludzi i dusz ludzkich, prac, czynów i losów.

Jeżeli w takiem świetle staniemy przed interesy narodowe, bądź w całości pojęte, bądź poszczególne, zajaśnieje przed nami prawda ogromna, niezłomna i święta, że interes narodowy jest tem najwyższem kryteryum, którem jednostki i grupy ludzkie w postępowaniu swem posługiwać się powinny.

Eliza Orzeszkowa.

Z żałobnej karty

†

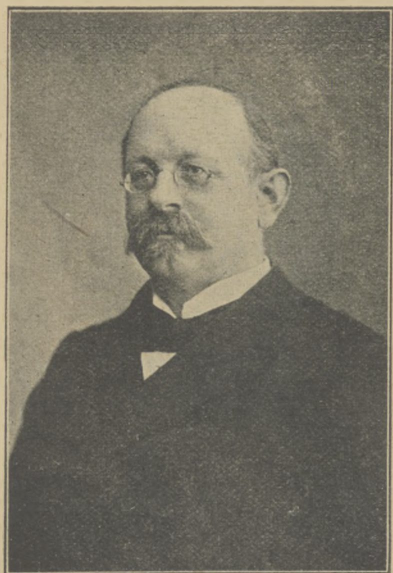
Ś. p. Edward Donimirski

z Łysomic.

Z Kłodzka na Śląsku nadeszła dnia 30-go z. m. po południu bolesna wiadomość, że śp. Edward Donimirski, dziedzic Łysomic pod Toruniem zmarł w drodze, wracając z żoną z wód, aby się w Toruniu w klinice dr. Szumana poddać operacyi kamieni żółciowych.

Ś. p. Edward pochodził z Buchwałdu w ziemi Malborskiej. Patryotyczna jego matka, Zofia z Slaskich z Trzebcza, wywierała nań wpływ ożywczy od lat dziecięcych. Tak samo należał ojciec jego do tych obywateli Prus Zachodnich, którzy około 1850 r. rozpoczęli rozbudzać ducha narodowego w swej dzielnicy. Znakomity Ignacy Łyskowski z Mileszew przedstawiał w tej pracy i światło i plany i wolę, Ignacy Danielewski, żyjący dotąd w Toruniu, dodawał zdolność realizowania planów, a rozumem szerokim i równocześnie przenikliwie praktycznym działał dyrektor ziemstwa kredytowego p. Donimirski z Buchwałdu.

W tej atmosferze rozwijał się ś. p. Edward i taką całe życie wokół siebie tworzył. Uczył się rolnictwa, to jest uczył i wyuczył prawdziwie, i uważany był za jednego z najlepszych gospodarzy Prus Królewskich, tak w teoryi, jak w praktyce. Nabył pod Toruniem Łysomice, majątek obszaru 4000 mórg, w warunkach trudnych. Podniósł go i drugi majątek kupił dla syna. Ale więcej, niż dla siebie, pracował dla spraw publicznych. Tu robił zawsze wszystko, co się robić nadarzało a zawsze z sercem prostem i ową rzadką u nas skromnością, która zniewala serca. Zrazu widział wokół siebie znaczne grono pracowników obywateli na większej własności, z czasem grono to malało, i wtedy głównie łączył się z energicznym i roztropnym swym wujem, dzielnym Ludwikiem Slaskim z Trzebcza. Założył „Gospodarza'' i drukował go przez lat 9 w Toruniu, a sam redagował w Łysomicach. Należał do założycieli „Muzeum'' w Toruniu i równocześnie do założycieli Towarzystwa naukowego, które w gmachu „Muzeum'' się zbierało i złożyło swe zbiory. O swoje „Muzeum'' dbał do końca życia, tak samo o wszystkie dalsze instytu-



Ś. p Edward Donimirski.

cye, które za świetnych czasów tamtejszego obywatelstwa powstały, jak Towarzystwo pomocy naukowej, jak Sejmiki toruńskie.

Po śp. Ludwiku Slaskim uważany był razem z p. Sczanieckim z Nawry za przewodnika tego kółka obywateli, którzy skupiali się około „Sejmiku toruńskiego'', i którzy pieczę nad sprawami publicznemi uważali za swój tradycyjny obowiązek. Dziś to kółko prawie przestało być kółkiem. Został się z starszych a działających jeszcze przyjaciel śp. Edwarda, zacny p. Sczaniecki.

Wiadomość o śmierci śp. Edwarda Donimirskiego wywołała bolesne echo w całem naszem społeczeństwie, gdyż nieboszczyk był nietylko rzędnym i postępowym gospodarzem, lecz także gorliwym w służbie publicznej obywatelem. Jak sam zmudną pracą w trudnych warunkach utrzymał i pomnożył fortunę, tak i społeczeństwo pragnął podnieść przedewszystkiem przez oświatę, pracę i postęp gospodarczy. To też był ojcem i duszą sejmików gospodarczych i — mimo steranego zdrowia — przyjął na barki swoje urząd Patrona Kółek rolniczych, a w różnych stowarzyszeniach pracował gorliwie, broniąc je nieraz trzeźwemi swojemi radami przed fałszywymi krokami.

Na sejmiku powiatowym przed trzema laty ś. p. Edward rzucił bardzo na czasie będący projekt, by dotąd szczupłą liczbę Kółek rolniczych w Prusach Zachodnich złączyć w jedną całość i na czele tejże postawić patronat z temi mniej więcej samemi prawami i obowiązkami, jakie przysługują patronatowi Kółek rolniczych u nas w Wielkiem Ks. Poznańskiem. Myśl tę niebawem społeczeństwo przyjęło z zapałem i w czyn zamieniło, tworząc na pierwszym zjeździe w Pelplinie Związek Kółek rolniczych z patronatem na czele

Pracując dla ogółu nie odmawiał także usług osobom prywatnym i komu mógł, temu pomagał radą, czynem i groszem. Szczególnie w Toruniu wsparł niejednego rzemieślnika, a jeszcze w ostatnim czasie czynił starania, żeby utrzymać zagrożony ruiną sklep polski.

Nie wielu znaliśmy Polaków, którzyby tak byli przejęci chęcią służenia społeczeństwu i tak poważnie się do tej służby zabierali, jak ś. p. Edward Donimirski. To też szanowali i cenili go nietylko przyjaciele, lecz także ci, których od niego dzieliła różnica poglądów społecznych a raczej taktyki społecznej, bo ś. p. Edward Donimirski, nie znając przesądów stanowych i klasowych, był wzorem demokratycznego ziemianina, który chętnie uścisnął dłoń sąsiada włościanina i rzemieślnika a i z robotnikiem umiał się obejść po ludzku, czem dobry dawał przykład młodemu pokoleniu.

Cześć Jego pamięci! Spokój wieczny Jego duszy!

Złote listki.

Smoła tak nie przylega do szaty, jak niesława do imienia.

Henryk Sienkiewicz.

* * *

Na świecie trzeba żyć ze światem.

Karol Szajnocha.

* * *

Upadek dobrych więcej zasmuca aniżeli w złem trwanie niegodziwych.

A. E. Koźmian.



Koreańczycy z okolic północnych.
(patrz artykuł: „Dwór cesarski w Seulu“).

Ojczyzna
w poezjach Mickiewicza.

6)

(Dokończenie).

Mickiewicz nakreślił dla niej bohaterską rolę, powołał ją do wielkich przeznaczeń, nie mógł więc słabych młodocianych ramion, obciążać zbyt wielkim ciężarem. Dał jej wiek odpowiedni do takich zadań.

Powiada więc nam, że „pod lat niewieścich schodziła ona południe,“ że była kobietą dojrzałą.

Ale to jej krasy nie ujmowało wcale. Owszem, dorzucało nowy czar do niej.

Jakże wspaniale uwydatnia to poeta:

„A chociaż wiekiem, od młodej jutrzenki
Pod lat niewieścich schodziła południe
Obojе dziewki i matrony wdzięki,
Na jednem licu, zespoliła cudnie.
Powagą zdziwia, a świeżością znęca,
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie,
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.“

Fizycznie zatem, jest ona doskonałością. Czyż bo doskonałością nie jest postać kobiety, łączącej w sobie majestat powagi, ze świeżością dziewiczą, na którą gdy się oczy podniesie, to się widzi urok skwarnego lata, przy owianej zefirem słodkim wiośnie, która jest jednocześnie kwiatem i owocem, to jest zaklęła w sobie czar dwóch zmysłów?

A duchowo?

Nie jest to naturalnie salonowa dama, nie salonowej damy zatem musi mieć przymioty. Przytem nie jest to kobieta czasów naszych. Choćby się więc kreśląc jej postać, o kobiecie naszych czasów myślało, musiało ją się uposażać we właściwości kobiet dawnych, przenosić ją w odpowiednią, jej roli, epokę. Sercem też całem, wydaje Grażyna, nie kobietę, lecz mężczyznę.

„Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy,
Gardząc twardego imała oręża.
Często myśliwa, na żmudzkim rumaku,
W szorstkim, ze skóry niedźwiedziej kirysie
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku.“



Koreańczycy z okolic Seulu.
(patrz artykuł: „Dwór cesarski w Seulu“)

Takie kobiety istniały na Litwie. „Słyszałem — powiada Mickiewicz, w przypiskach do Grażyny, — od świadomego dziejów narodowych p. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które po wyjściu mężów na wojnę, same murów broniły, a nie mogąc się oprzeć nieprzyjaciołom, przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolę.“

Ale będąc ideałem kobiet swojego czasu, jest ona i ideałem kobiet naszych. Uosabia bowiem pod względem duchowym to, co kobietę naszą, o ile ma być doskonałością, cechować powinno. A więc: rozsądek, takt i patryotyzm. Tym przymiotom jej niezwykłym poeta daje wyraźne i dosadne odbicie. Czyż bo nie mówi on o żonie Litawora, że

„Zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nie tylko łoże, i serce podziela
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy, i tajne układy,
Częstokroć od jej zależały rady.“

A jakim przedziwnym taktem, przy tem wszystkiem jest ona obdarzona? Ma olbrzymi wpływ na swego męża, ale śladem pospolitych wpływowych kobiet, nie przechwala się tym wpływem.

Kiedy Rymwid, przerażony postanowieniem Litawora, idzie do niej, odgadując instynktem, że ona jedna powstrzymać go na okropnej drodze, na którą wstąpił, może, i przekłada jej swoje obawy, ta pełna skromności, nie chcąc by sługa bądź co bądź, wiedział o tem, „z jaką potęgą w sercu męża władnie“ zapomina o tem kim jest, upadabnia się przed nim, do najzwyczajniejszej kobiety.

„Nie wiem ja (mówi) czyli nad rycerzy,
Więcej u pana słowo niewiast płaci,
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie,
Wiem jeszcze lepiej, co uradzi, dopnie.“

Więc ma ten delikatny takt, któryby zaszczepić niejednej z pań naszych należało, takt, który Kalinka określił następującemi słowy: „Kobieta jest matką i aniołem stróżem domu i rodzidziny; ona może rządzić i domem i rodziną, a nawet narodem, ale pod warunkiem, by rząd jej był niewidzialny, jak Anioła stróża.“

Otóż Mickiewiczowska Grażyna jest właśnie taką, rządzi mężem, uczestniczy w najważniejszych państwowych naradach, wpływa na ich tok, ale nie popisuje się tem „wszędy.“ Owszem, kryje się z tem, i to tak starannie, że nawet „baczniejsi i bliżsi jej oku“ dociec tego nie są w stanie.

A jej patryotyzm? Ten stoi na takiej wyżynie, że na wyższej postawiony być nie może.

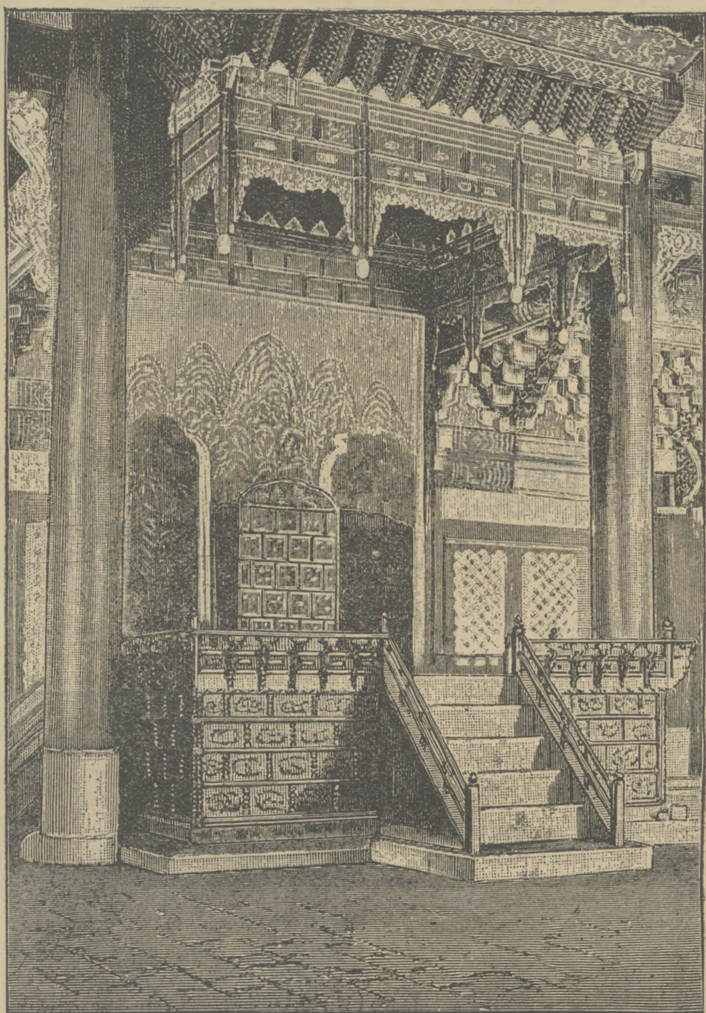
Zaledwie Rymwid zawiadomił ją o grożącem krajowi niebezpieczeństwie, aliści, „mocno uderzona nową wieścią,“ postanawia bezzwłocznie działać. W przeciwieństwie do swojego męża, dającego pierwszeństwo prywacie nad sprawą publiczną, interes własny, podporządkowywa ona interesowi kraju.

Ażeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół.“

Ale on jej się ubłagać nie dał. Zaciął się uporczywy w gniewie, słuchał jej próśb z szyderczem obliczem, odpowiadając „nie i nie,“ na jej błagania. Każda inna żona na jej miejscu, po tej rozmowie, uważałaby rolę swoją za skończoną.

Nie tak Grażyna. Czyni więc to, co dla ocalenia kraju wydaje się jej najodpowiedniejszem, oddala posłów krzyżackich, i tym sposobem ściąga na kraj wielką burzę.

Ale nie — oddalić ich nie może.



Tron cesarza koreańskiego w Seulu.
(patrz artykuł: „Dwór cesarski w Seulu“).

„Biada (woła) mojej głowie,
Niechcę ażeby po Litwie gadano
Że brat na bratnie następował zdrowie
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano.“

I nie zważając na porę spóźnioną, idzie do Litawora, a choć nie wiadomo co z nim mówiła, domyślać się tego nie można.

Zresztą, sam poeta dopomaga w tym względzie naszej domyślności.

W epilogu wydawcy czytamy takie słowa:

„Księżna sfrasowana
Długo błagała męża padłszy na kolana

Czuje, że jak pozostaną na podwórcu zamkowym, a Litawor się przebudzi, wszystko będzie skończone, do spółki z nimi pociągnie przeciwko Witoldowi, sprzeniewierzając się swojej ojczyźnie.

A ona do tego nie dopuści.

Za żadną cenę.

Więc ich obraża, i tą obrazą rzuca obelgę dumnemu Zakonowi, nie bacząc na to, jakie to wywoła następstwa. Przecież o następstwach tych, nie wiedzieć nie może.

Jak to zaznaczyliśmy już słowami poety wyżej, podzielała ona „myśli Litawora,“ i „władzę jego nad ludem,“ nie tylko „wojny i sądy,“ ale i „taj-

ne" nawet „układy," od jej rady „częstokroć," zależały, musiała więc wiedzieć dobrze o tem, jakie ma znaczenie „poseł," że obraza jego jest równoznaczną z obrazą jego monarchy.

Więc decydując się na krok tak stanowczy, obliczyła następstwa tego kroku, następstwa wojną brzemienne. Przecież się zdecydowała, gdyż inaczej jako patryotka litewska robić nie mogła, przekładając wojnę nad hańbę.

Należało jej, albo się poddać losowi, jaki gotował Litwie Litawor, albo rzucić wszystko na szalę.

Rzuca zatem wszystko, oczekując spokojnie na wypadki.

Te jednak długo na siebie oczekiwać nie dają.

Obrażony poseł, gromadzi dokoła siebie wojsko, uderza na Nowogródek. Grażyna, przebrawszy się dla niepoznaki w zbroję męża, staje na czele Litwinów, i ginie w walce z Niemcami. jako typ podniosły i szlachetny budzić ona będzie cześć.

I unosić dusze ludzkie na wyżyny, ku słońcu, ku niebiosom, i z tych wyżyn błogosławić tej ziemi.

Mamyż po tem co się powiedziało, rozpatrywać szczegółowo cały poemat, wykazywać jego blaski i cienie? Choć nie leży to, w bezpośrednim związku z tytułem tej rozprawy, przecież zaznaczamy z naciskiem, że pierwsze uderzają w nim na każdym niemal kroku. Język majestatyczny i wspaniały, charakterystyka ludzi i czasu nieporównana, zdumiewająca w tak młodym, gdy Grażynę tworzył, poecie, siła zwrotów i wyrażeń, — oto główniejsze zalety utworu, owianego takim urokiem, że go zaćmić nie mogą jego wady.

Bo i na słońcu są plamy, bo i Grażynie niejedno zarzuca sucha krytyka. bo powołani i niepowołani literaccy



Orkiestra koreańska na dworze cesarskim w Seulu.
(patrz artykuł: „Dwór cesarski w Seulu")

anatomowie, skalpelujący geniusz z chłodem, z jakim się w prosektorjum kraje na sztuki trupa, w jej harmonii uroczej, doszukują się fałszywych akordów i zgrzytów.

Zgadzam się na to z nimi, że jedne i drugie w Grażynie są, że akcya, zamknięta w kilku godzinach jednej nocy, za prędko w niej biegnie, że epizod z posłami, zatrzymywanymi długo i niepotrzebnie na podwórzu zamkowym, grzeszy nieprawdopodobieństwem, ze przemówienia Litawora i Rymwida, są zbyt długie w stosunku do całości, zgadzam się na to, boć i sam Mickiewicz podobno, niezupełnie był ze swojego dzieła zadowolony, — mimo to przecież, uważam Grażynę, za jedno z najznakomitszych dzieł, jakie stworzyła poezya nasza, gdyż jak słusznie zaważył Nering, w „jej poświęceniu jest coś wzniosłego," gdyż widnieje w niej „epiczność zwięzła, spokojna, prosta i przejrzysta" gdyż „jest w niej dyspozycya powieści, nie pozostawiająca wiele do życzenia." Tak jest, znajduje się w niej to wszystko, ale po nad to, i coś więcej.

Oto doskonały typ, ulany z jednolitego metalu, „niewiasty z wdzięków" — jak się wyraził Litawor paląc się na stosie ze zwłokami żony, — a „bohatera z ducha" typ skończony i bezbłędny, jeden z najwspanialszych, jakie znam w poezyi całego świata.

I typ ten, olśniewa nam wzrok takiem światłem, że rozpagadzają się dusze nasze, uderzają żywiej nasze serca, że godzimy się z życiem, z tem biednem i ułomnem życiem, w którem, jak powiedział słusznie Krasiński, na każdym niemal kroku, znachodzi się „więcej wątrób, niż serc."

I pogodzeni z życiem, idziemy już śmielej przez życie, omijając na jego drodze ostre kamienie i wyboje, gdyż je nam krasi i złoci ideał, którego ta Mickiewiczowska Grażyna jest podniosłem wcieleniem.

Na zakończenie słów kilka.

Grażyna pojawiła się w 2-gim tomiku dzieł Mickiewicza, wyszłym w Wilnie, w roku 1823.

Tomik ten, bo jest on tak drobny, że na nazwę tomu nawet nie zasługuje, zawiera prócz niej, części 2-gą i 4-tą „Dziadów." Poeta pomieścił ją w nim na pierwszem miejscu, „Dziady" na drugiem.

Czy przypadkowo?

Zdaje mi się, że nie. „Dziady," a zwłaszcza część ich czwarta, są jego autobiografią, dziejami jego serca.

Przepełniła to serce gwałtowna ku Maryli miłość, i zadała mu nieuleczalną ranę.

Odkrywa więc nam on tę ranę, skarży się jękiem rozpaczy przed nami, budząc żal i współubolewanie.

Czuje się słuchając tych skarg, że ukoić ich nie potrafi kobieta inna, że na to już potrzeba miłości szlachetniejszej i czystszej, nad kobiety miłość, miłości ojczyzny.

I tę miłość ukazuje nam w Grażynie.

Ukazuje tuż przy tej, ale przed nią, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, jakie jest jej znaczenie w szeregu uczuć ożywiających człowieka, i przyśpieszających bicie jego serca.

I mówi nam, i tej mowy nie powinniśmy zapomnieć nigdy, że gdy tamta, t. j. miłość kobiety, jest promykiem, gorejącym płomieniem świętym, lecz krótkotrwałym, ta, to jest miłość kraju, jest ogniem, który gasnąć w człowieku nie powinien nigdy; że jak o-

Wielka zatem sercem, i idąca za popędem serca, odwróciła od kraju hańbę i nieszczęście, zbawiła go kosztem swojego życia, oddała mu w ofierze samą siebie.

I przeszła do potomności, unieśmiertelniona przez poetę, nie jako figura historyczna, bo w historyi nie istniała, ale jako ucieleśnienie w poezyi, wielkiego ukochania i wielkiej ofiary. I czy, jak powiada Mickiewicz w końcowym wierszu swojego epilogu, dziś jeszcze w Nowogrodzkiej ziemi:

„Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewki
I dotąd pole bitwy zwą polem Litewki,"

czy nie, wszędzie na całym świecie, gdzie świętym ogniem gorzeją serca,

gień metale, winna ona oczyszczać jego duszę z rudy samolubstwwa, i oczyszczoną wyprowadzać na światło, by jaśniała jak miłość Grażyny jasnym blaskiem, i by jak jej miłość, w chwili potrzeby i niebezpieczeństwa kraju, przejawiała się w poświęceniu.

Stanisław Belza.



Więcej nie chcę nic.

Ciepła, wonna nocka letnia
Otuliła świat,
Księżyc srebrem pomalował
Ściany wiejskich chat.

Gdzieś od stawu, dolatuje
Żabich głosów chór, —
Milion gwiazdek się zapala
Na niebie bez chmur.

Sennie, chylą kiście kwiatów
Jaśminy i bzy...
Po ich bladych płatkach, spływa
Rosa, niby łzy. —

Coraz ciszej, coraz senniej,
Swiat spokojem tchnie,
Zając tylko czemś spłoszony
Przez zagony mknie.

A od lasu piosnka płynie
Słodka jak woń róż...
Kto piosenki takiej słuchał
Nie zapomni już...

Ach! piosenką być przez chwilę
W serce jego wpaść
I na bladem jego czole
Złote blaski kłaść. —

Ach! piosenką być przez chwilę...
Smutek zwiać mu z lic...
Potem w ciszę się rozpłynąć, —
Więcej nie chcę nic. —

Janina Rożańska.

Dwór cesarki w Seulu.

Przez ustąpienie cesarza koreańskiego z tronu, opustoszał pałac cesarski, który należy do najwspanialszych budowli państewka. Zamek cesarski znajduje się w Seulu, stolicy państwa. Zbudowany jest na sposób chiński, z licznymi szpiczastymi dachami, z których zwisają dzwonki. Za najlżejszym podmuchem wiatru, dzwonki te wydają miłe dźwięki. Do pałacu wiodą trzy bramy. Jedna dla monarchy i koronowanych głów, druga dla najwyższych urzędników, trzecia dla reszty śmiertelników. Przybywających do cesarza na posłuchanie przynoszono aż do stopni, wiodących do pokojów królewskich, w ozdobnej lektyce. Przyjęcia odbywały się około godziny 3 w nocy, gdyż Koreańczycy najważniejsze czynności w nocy załatwiają.

Przy przyjęciach obowiązuje następująca ceremonia: Cesarz zjawia się w sali tronowej, za stołem bogato inkrustowanym, pod okrągłym wachlarzem chińskim w stylu. Po obydwóch stronach stołu stoją Koreańczycy z dobytymi szablami, gotowi do obrony sali zatrzymuje się, aż dadzą znak, że cesarz opuścił salę tronową.

Potem wprowadzają go do sali jadalnej. Tutaj także spotyka go osobliwy obyczaj. Zasiada do stołu wraz z dostojnikami dworskimi i ucztuje przy stole cesarskim, lecz obsługuje go jego własna służba, a potrawy musi przyrządzić w kuchni cesarskiej kucharz najęty przez gościa, lub jego prywatny sługa.

Gdy panowie biesiadnicy rozgrzeją się strawą i napojem, odsłania się gościowi europejskiemu nowy osobliwy obyczaj. Oto w miarę jak się robi ciepło, dygnitarze zdejmują ze siebie wierzchnie ubrania jedno po drugiem, a że mają ich, stosownie do rangi, nieraz i po ośm, a nawet po dziesięć, więc zdarza się, że jakiś jegomość zasiada do stołu ogromnie otyły, a potem, w miarę jak je i pije, chudnie coraz bardziej, a przy końcu uczty siedzi już często całkiem chudy człowieczek. Po biesiadzie poczynają się zabawy.



Tancerki z pałacu cesarskiego w Seulu.

cesarza. Za nimi ustawiają się dygnitarze dworscy, ściśle według rangi. Kiedy już cała świta zajmie swe miejsce i cesarz pojawi się w sali, na dany znak wprowadzają gościa, czy też konsula europejskiego, który ma właśnie otrzymać posłuchanie. Za nim w odległości zaledwie jednej piędzi kroczy kanclerz. Poseł stawia trzy kroki i ukłon, potem znowu trzy kroki i ukłon, nakoniec jeszcze trzy kroki — staje i czeka, aż cesarz do niego przemówi. Rozpoczyna się pogadanka bardzo ożywiona, którą wszyscy dyplomaci umieją na pamięć, gdyż powtarza się ona jota w jotę na każdej audyencyi.

Po skończonej rozmowie gość się kłania, i z tym samym ceremoniałem jak wszedł, wychodzi. W przybocznej

Cesarz nosi zawsze suknie z przeźroczystego jedwabiu, bogato haftowane, długie i obszerne; ciężki pas złoty spina je w połowie ciała, a za pasem zatknięta jest fajka, tytonierka i drogiemi kamieniami wysadzana szabla. Długie włosy na głowie ma spięte wstążką z włosienia końskiego, na tyle głowy tkany kapelusz, także włosien-

ny. Trzewiki nosi cesarz z czarnego atlasu, a podeszwy mają grubość czterech palców.

Dwa razy do roku opuszcza cesarz stolicę swą i udaje się w kilkudniową podróż do rodzinnych grobowców. Na czele takiego pochodu idą woły, ciągnące wspaniałą lektykę cesarską; ko-



Szlachta koreańska bawiąca się strzelaniem z łuka.
(patrz artykuł: „Dwór cesarski w Seulu").

niec tworzy straż tylną. Wołom przywiązują na racicach słomiane obuwie, aby się nie ślizgały i nie potykały po nierównej drodze. Ponieważ takie obuwie bardzo prędko się zużywa, więc naganiacze plotą po drodze ustawicznie nowe obuwie dla wołów. Na całej drodze domy Koreańczyków muszą być pozamykane w czasie takiej pielgrzymki cesarza, a gdy się któremu mieszkańcowi przydarzy na otwartej drodze spotkać z orszakiem dworskim, musi się położyć plackiem na ziemię i nie śmie podnieść czoła, gdyż Koreańczykom jest surowo wzbronione oglądać twarz cesarza.

Syllabus.

Taki tytuł noszą pisma, Stolicy Apostolskiej, potępiające błędy przeciw wierze świętej.

Słowo „syllabus" pochodzi z języka greckiego i oznacza tyle co spis albo zbiór czegoś. A że dekret Stolicy Apostolskiej potępiający herezye i błędne zdania wylicza je kolejno stąd dano mu nazwę: Syllabus to jest spis błędów czyli herezyi.

Dotąd dwa takie wydano dekrety. Pierwszy ukazał się w roku 1864 za rządów Piusa IX. Drugi wydano właśnie teraz z polecenia Piusa X. Tamten zawierał 80 tez czyli zdań przez papieża potępionych. Obecny wylicza ich 65. Są to błędne zdania, rozszerzane przez wrogów Kościoła a niestety także przez niektórych pisarzy katolickich.

Początkowe błędy wyliczone w obecnym Syllabusie dotyczą Pisma św.

W dalszym ciągu wylicza Syllabus wiele błędnych nauk, głoszonych przez niektórych pisarzy o Kościele, o jego potrzebie i urządzeniu, o Sakramentach. Syllabus potępia także to mniemanie jakoby prawdy wiary były zmienne i mogły się rozwijać stosownie do potrzeb czasu i okoliczności.

Ostatni zaś ustęp za błędne ogłasza zdanie nieraz przez różnych półmędrków powtarzane, jakoby wiara sprzeciwiała się prawdziwym dociekaniom nauk świeckich i nie dała się pogodzić z rzetelnym postępem wiedzy nowoczesnej.

Dekret Stolicy Apostolskiej kładzie tamę fałszywym poglądom i zdaniom, głoszonym niekiedy przez katolików, którzy chcieliby całą naukę Chrystusa przykroić do swoich własnych poglądów i zachceń. Żadna inna droga nie może być prawdziwa i pewna jak tylko ta, którą wskazuje nam kościół katolicki.

Ażeby więc te błędy codziennie rozszerzane pomiędzy wierzącymi nie zakorzeniły się w ich umysłach i nie zamąciły czystości wiary, dlatego Ojciec św. polecił kardynałom spisać je i jako wierze świętej przeciwne ogłosić.



Mandaryn koreański.
(patrz a tykuł: „Dwór cesarski w Seulu").

Ktoby odtąd potępione zdania uznawał za prawdziwe i z wiarą zgodne, ktoby je rozszerzał i bronił, ten stoi w przeciwności z nauką Kościoła i za katolika uważany być nie może.

Sprawy ekonomiczne.

Na lechy.

Każdy wie, że najserdeczniejszem życzeniem hakaty jest wyzbyć nas posiadania a przedewszystkiem ziemi, aby przez to odebrać nam podstawę do materyalnego bytu i rozwoju. Wszakże ziemia jest najszczerszą naszą matką żywicielką; błogosławioną też jest dla niej pracą, gdyż pilną troskliwość i czułe ku sobie przywiązanie sowicie nagradza. Uczymy się też wciąż jeszcze cenić ojczyste nasze lechy. I ku obronie tej tak drogiej nam ojczystej spuścizny powstały instytucye mające z jednej strony ułatwić rolnikom, miłośnikom ziemi, jej nabywanie, a z drugiej chronić nabywców od wrogiej konkurencyi, agentów, pośredników i wszystkich, których hasłem: wykorzystanie chwili sposobnej i danych okoliczności dla celów ubocznych, dla wyzysku. Stąd też prasa nasza zaliczała zawsze do pierwszych swych zadań: popierać usiłowania naszych spółkowych przedsiębiorstw parcelacyjnych. Nie oznacza to jednak bynajmniej, aby taż prasa z góry potępiała takie same przedsiębior-

stwa jednostek. Przecież nie ulega wątpliwości, że ostatnie nie podlegając formalnościom ustawowym spółek, pracują raźniej i wiele zaoszczędzają sobie zachodów spółkom przekazanych a organizacyą spółkową nie uniknionych. Stąd konsekwencya, że przedsiębiorstwa prywatne pracować mogą taniej na korzyść klientów.

Atoli tylko takie firmy zasługują na równą spółkom uwagę i poparcie, którym nie błyski łatwych zysków przyświecają ani inne uboczne cele, lecz ujęciem są tego samego co spółki pierwiastku: obrony ojczystej ziemi. — i za tym samym też co i one podążają ideałem narodowo społecznym. Takie same mając cele przedsiębiorstwa jednostek, mają też równe spółkom prawa do względów społeczeństwa i do popierania ich interesów. Za to jednak podlegają również jak spółki prawu społeczeństwu przysługującemu: do rzeczowej krytyki ich działalności i do odpowiedniej kontroli.

Suum cuique.

Zakusy antypolskie i zachłanność przemocy wzmaga się, a wśród burzy hakatystycznej i coraz częstszych gromów w polskość uderzających co dzień wołać nam trzeba: do pracy na lechy, na piękne, żyzne i wdzięczne ojczyste nasze lechy!

Głos ten stósuje się przedewszystkiem do tych, których serca znużone tęsknotą z uciułanym groszem z obczyzny na ojczyste powracają niwy, aby na własnym osieść się zagonie.

N. W.

Niezgodni.

Jak różni różnie
Działają w świecie —
Opowiem państwu
Po alfabecie:
Adam gardłuje,
Bartłomiej słucha,
Czesław mędrkuje,
Dyzma wybucha,
Erazm rozmyśla
Feliks powiada,
Grzegorz się boczy,
Hipolit bada,
Ignacy milczy,
Józef gaworzy,
Karol planuje,
Ludwik się sroży,
Michał wciąż duma,
Nikodem myśli,
Oskar układa,
Paweł zaś kreśli,
Roman wnioskuje,
Stanisław wzdycha,
Tomasz się waha,
Ursyn popycha,
Wiktor do rzeczy,
Xawer do rzeczy,
Zygmunt przywtarza,
Żegota przeczy —
A wszyscy społem
O zgodzie nucą
I solidarnie
Raz wraz się kłócą.

El. (*K. Laskowski*).

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 11 sierpnia 1702 Karol XII wchodzi do Krakowa. — 1831 bitwa pod Wolą zakrzewską.

Dnia 12 sierpnia 1436 śmierć Jana Rzeszowskiego, arcybiskupa lwowskiego. — 1569 zamknięcie sejmu lubelskiego. — 1678 zburzenie Czechrynia przez Turków. — 1794 Moskale zajmują Wilno.

Dnia 13 sierpnia 1437 Świdrygiełło upokarza się przed Władysławem III. — 1492 na sejmie w Piotrkowie Jan Olbracht obrany królem. — 1648 pobicie kozaków pod Zwiachłem.

Dnia 14 sierpnia 1018 wjazd Bolesława Wielkiego do Kijewa. — 1385 poselstwo Jagiełły przed Jadwigą. — 1409 Krzyżacy biorą się do broni przeciw Polsce. — 1445 śmierć Wincentego Kota, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1824 ukaz carski skazujący studentów wileńskich.

Dnia 15 sierpnia 1292 wjazd Wacława II, króla czeskiego do Krakowa. — 1429 Witold chce się koronować królem litewskim. — 1485 hołd Stefana, wojewody wołoskiego. — 1657 śmierć Bohdana Chmielnickiego. — 1716 zamach w Biponcie na życie Stanisława Leszczyńskiego. — 1799 legion polski w bitwie pod Novi. — 1831 krwawa protestacya ludu warszawskiego przeciw kontrrewolucyi. — 1831 bitwy pod Szymanowem i Kokiemi.

Dnia 16 sierpnia pobicie Pomorzan pod Rzeką. — 1383 krzyżacy zdobywają Troki. — 1432 poselstwo marszałka cypryjskiego przed Władysławem Jagiełłą. — 1625 wielki pożar w Jarosławiu. — 1686 Jan Sobieski wchodzi do Jass.

Dnia 17 sierpnia 1492 Jan Olbrach ogłoszony królem w Krakowie. — 1812 zdobycie Smoleńska.

Dwie szarady.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“ B. Ma... ze Skoków.

I.

Wiem, że pierwsze osoba, że osoba trzecie,
Całość jest także osoba,
Lecz wiem, że się z tych osób żadnej nie [podoba,
Kiedy drugich i trzecich zbraknie im [w kalecie.

II.

Smakosz lubi mnie bez główki,
Z główką lubią panny, wdówki,
Kiedym z główką to nie żyję,
Gdym bez główki jem i piję.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 17 sierpnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie zadania konikowego z nr. 30-go:

Prędzej Wisła z Sandomierza odwiedzi Bielany, Niźli imię Kazimierza zapomną włościany

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Janek z pod Góry Przemysława, Maksymilian Maliński; *z prowincyi:* pp. A. Grątkowska z Kościana, M. Sławski z Wielichowa, Jan Wachowski z Niechanowa, Z. Jaworska z W. Sławska; *z Górnego Śląska:* pp. Franciszek Oleszko z Kunar, P Pasternak, Tadeusz Kolanowski, Józef Knopp i I. Pindur z Zabrza; *ze Śląska austryackiego*: pp. Karol Lasar i Aloizy Hopel z Zebrzydowic; *z Galicyi*: pani Kierska z Truskawca; *z obczyzny:* pan Paweł Koralewski z Marxloh.

Nagrodę otrzymali: pp. Maksymilian Maliński z Poznania, Jan Wachowski z Niechanowa i Paweł Koralewski z Marxloh.

Na stanowisku.

Opowiadanie myśliwskie powtórzył **Leon Chrzanowski.**

Nigdy nie mogłem się dowiedzieć dokładnie, ile lat naprawdę miał stary Kiełczewski.

Od lat trzydziestu zawszem go widział jednakim; cichy, milczący, unikający ludzi, zawsze czemś zajęty. Zimą i latem w ogromnej lisiej czapie z uszami na wierzch odwiniętemi, w długim, niegdyś zapewne czarnym surducie, który słońce i deszcze zabarwiły na jakiś zielonawo tabaczkowy kolor, w butach za kolana, przepasany zielonym wełnianym pasem, z dużą torbą borsuczą na jednem, z starą pojedynką na drugiem ramieniu, — takim zapisał się w świeżej pamięci dziecka i takim pozostał w wiele lat później, gdym z nim jako dorosły mężczyzna polował.

Kiełczewski nigdy o nic nie pytał; wielka to łaska była z jego strony, gdy raczył odpowiedzieć — wyjątek czynił dla mnie, uważając mię za swego ucznia, któremu się należą pewne informacye. Wogóle mówił mało i niechętnie.

Mimo to, jednak znany był szeroko we wszystkich zaściankach szlacheckich a pomiędzy Kurpiami osobliwie około Broku i Długosiodła posiadał rodzaj zabobonnego poszanowania.

Myśliwi opowiadali sobie cuda o jego *sposobach* na wszelaką zwierzynę i ptactwo, na celność strzałów, uroki na psy i *malikowatość* u ludzi.

W zaściankach szlacheckich po dziś dzień istnieje zwyczaj dodawania do nazwisk rodowych, specyalnych przezwisk charakteryzujących daną osobistość, dla bliższego jej określenia. Jest to po części koniecznem, gdyż przy wielkiej ilości osób jednego nazwiska i kilku zaledwie imion, oryentowanie się bez przydomków byłoby nie możliwem.

Jest naprzykład w jednym tylko ostrowskim powiecie dwanaście wsi szlacheckich Godlewo. Dla odróżnienia, noszą one wprawdzie przydomki; jest Godlewo Wielkie i Małe, i Kosy, i Wybrane i Cechny i t. p., ale zważywszy, że każda taka wieś liczy kilkudziesięciu mieszkańców samych Godlewskich, że ci Godlewscy z ojca na syna, kilku tylko swoich specyalnych świętych na patronów używając, noszą jednakie, po kilkunastu na raz imiona, łatwo sobie wyobrazić można, jakiby chaos zapanował, gdyby nie ratowano sytuacyi przezwiskami.

Przezwiska te służą jedynie danej osobie; czasem tylko przechodzą z ojca na syna, w razie gdy ten syn jest osobistością o tyle szarą, że nie zarobi sobie na własne przezwisko.

Mój Kiełczewski pochodził naturalnie z Kiełczów, które dla odróżnienia od pół tuzina swoich siostrzyc nosiły przydomek Kopki, że zaś w całej okolicy słynnej z trudnej sztuki upatrywania zająca w kotlinie, nikt mu w tem upatrywaniu nie sprostał, przeto mu dano przezwisko „patryjota“ od patrzeć, upatrywać.

Wielka jakaś boleść wygnała go za młodu jeszcze z rodzinnego zaścianka, i choć przez wiele lat mieszkał później w pobliskiej okolicy nigdy już doń powrócić nie chciał, a jako był mizantrop wogóle, to od wszelakiego Kiełczewskiego stronił tem więcej.

O parę staj za wsią pod lasem, był maleńki folwarczek, zwany Wójtostwem, gdzie oprócz obór dla jałowizny i stadniny, stał niewielki poczwórny dworek. W tym dworku najlepszą izbę zajmował Kiełczewski, reszta służyła za mieszkanie dla włodarza i komorników.

Chciał ojciec zatrzymać Kiełczewskiego przy dworze na *pańskim stole,* chciał mu oddać zarząd gospodarstwa, lecz chęci te rozbiły się o upór starego, który ani chciał słyszeć o jakiemś skrępowaniu i wolał osiąść na ustroniu bez żadnej pensyi, ale też bez żadnych określonych zajęć i obowiązków.

Oboje rodzice czuwali jednak nad jego potrzebami, choć te były tak ograniczone, że chyba żaden pustelnik nie żył skromniej i wstrzemięźliwiej.

Dzieckiem jeszcze będąc, miałem największą przyjemność wykradania się na wójtostwo do Kiełczewskiego. Było tam co bo i widzieć!...

Okna zastawione klatkami z rozmaitem ptactwem, które doskonale oswojone po całej wielkiej izbie bujało, uchodzony krogulec jadał z ręki, para zajęcy z królikami pospołu wyglądała z pod łóżka, na którem ostentacyjnie wylegiwał się kolczasty jeż. Cała rodzina wiewiórek mieszkała w kupie suchego drzewa na przypiecku, a siwy borsuk w idealnem braterstwie z parą podżartych ogarów wylegiwał się na podłodze w słońcu.

Wprawdzie chcąc się dostać do tych cudów, trzeba się było przeprawić przez drzwi, których pilnował uwiązany na łańcuszku duży i zawsze mi podejrzany o złą wolę lis, ale że przeprawę tę uskuteczniałem zwykle w towarzystwie swojego opiekuna, rosłego charta ścigacza, przed którym lis przezornie się usuwał do nory, pod progiem prawnie posiadanej, więc ostatecznie ciekawość przemagała obawę.

Nie sama wszakże ciekawość kierowała mojemi wycieczkami na wójtostwo. Kiełczesio miał zawsze pod ręką dla małego panicza stosownie do pory roku to krobeczkę wonnych malin, poziomek, jagód lub włochyni, to rydze na węgielkach pieczone, to dorodne prosto z siennika dobyte *ulęgałki,* to garść wybornych orzechów, plaster miodu z barci leśnej, lub inny jaki przysmak troskliwie chowany w starym kantorku przed łupiestwem oswojonych wychowańców.

Kiełczesio, jeżeli siedział w domu, zawsze był czemś bardzo dla mnie ciekawem zajęty. To sobie torbę łatał, to coś koło broni majstrował, to sieci misternie wiązał, to strugał jakiś statek, to wreszcie szył buty, czego przecie prócz niego nikt nigdy w całej wsi nie umiał, i co było dla mnie szczytem umiejętności.

A tu w dodatku na ścianach wisiały przeróżne dziwy: potrzaski, łapki, żelaza, rogi, skrzydła i skórki wyprawne. Ze starego kantorku zalatywał zapach jabłek, mięszając się z ostrą wonią ziół przeróżnych i grzybów suszonych w pękach i wiankach u pułapu wiszących, słowem i dziwno, i ciekawie, i bardzo przytulnie mi było w tej siedzibie starego myśliwca.

To też miłość moja dla mrukliwego Kiełczesia przetrwała próbę oddalenia i każdy powrót ze szkół do domu, był mi tem droższy, że do tysiąca rozkoszy, jakiemi wieś darzy swoje pracowite dzieci, łączyła się nadzieja wycieczek na wójtostwo.

Za sprawę Kiełczewskiego już w dziewiątym roku życia dostałem od ojca maleńką fuzyjkę pojedyńczą, i z nią to asystowałem staremu w jego nieskończonych wycieczkach po polach i lasach.

Kiełczewski polował cały okrągły rok, a przecież nigdy już nigdzie później nie widziałem tyle i takiej rozmaitości zwierzyny, jak za jego czasów w tamtej okolicy.

Co prawda to i dziwne było to jego polowanie; najczęściej padał trupem albo zdziczały kot, albo polujący na własną rękę pies, lis, kuna, to znów jastrząb, kania lub inny skrzydlaty drapieżnik.

Z nad jeziora wracał z jakim niezgodnym kaczoremkrzyżakiem, z czajką lub kulikiem, a czasem zgoła ze starym szczupakiem, którego na pogoni za młodemi kaczętami przydybał i ustrzelił.

Do właściwej zwierzyny strzelał rzadko. Częściej już do ptactwa, a najchętniej do przelotnego *na ciągach*, choć wogóle jak dziś to rozumiem, był to prawdziwy myśliwy nie zasadzający swej chwały na liczbie ubitych sztuk, ale na głębokiem znawstwie kniei, natury i zwyczajów zwierzyny, na pokonywaniu trudności i rozumnej gospodarce łowieckiej.

Osobliwszą opieką otaczał kuropatwy, którym w zimie ustawiał szałasy z tarniny i pęków różnych traw, pomięszanych z niemłóconem zbożem.

— Gdy wszystek zacniejszy ptak ucieka przed zimą do cieplic — mawiał — ona jedna kura bieduje z nami, toć jej się należy świadczyć pomoc.

Kiełczewski uważał całą knieję okoliczną jako swoją śpiżarnię, z której można i należy brać co potrzeba, ale broń Boże niszczyć i marnować dla samej przyjemności zabijania.

Oburzał się na młodych hrabiów R., którzy na krótko przyjeżdżając z Paryża, zabijali dziennie po kilkaset zajęcy i kuropatw.

— To są zbóje gorsze od jenszego rzeźnika, bo tamten z tego żyje i mięso na ludzki pożytek idzie, a te panowie tylo na robactwo pracują.

Dzikie gęsi nie miały u niego łaski, uważał je na równi z drapieżnikami i tępił bez litości.

— To psiarstwo, to ino szkodę robi, a nijakiego pożytku z tego nie masz. Mięso galgan, pierze twarde, — dyabeł wie, gdzie się to lęże, rychtyg jak cygany bez domu, przez pana, przez żadnego statku, co ino ze złodziejstwa żyją.

Rzeczywiście dzikie gęsi były plagą tej okolicy. Na wiosnę i jesienią ponad dolinami Narwi i Buga, tysiące tego ptactwa ciągnęło ogromnemi stadami, a biada temu gospodarzowi, na polu którego nocleg sobie obrały. Sam widziałem pole świeżo grochem zasiane, na którem nie zostawiły ani jednego ziarnka.

Słabą stroną Kiełczewskiego były dropcie.

— To ptak mądry — takiego upolować, to je myśliwska sztuka!

Istotnie, pominąwszy już niezmierną rzadkość dropci w naszym kraju, ptak to tak czujny, tak podejrzliwy i ostrożny, że łowy nań wymagają prawdziwie indyjskiej cierpliwości i podstępów.

Na całej znanej mi przestrzeni Kongresówki, dropcie rok rocznie przebywają przez całe lato i nawet lęgną się, jedynie na gruntach miasteczka Andrzejewo, między Zambrowem i Nurem. Tam też przez ośm lat z rzędu za niemi się uganiałem na wszelkie sposoby, — a zawsze nadaremnie. Kiełczewskiemu udało się dawniej jeszcze ubić w przeciągu kilku lat dwie czy trzy sztuki, później jednak wszelkie jego pomysły rozbijały się o niesłychaną ostrożność tych wielkich kur.

Dla tego też z doświadczenia własnego zapewnić mogę, że wszelkie opowiadania myśliwych i niemyśliwych, o chwytaniu tego ptactwa chartami, lub strzelaniu z woza, są tylko zwykłą przechwałką myśliwską. Próbowaliśmy podchodzić je z pługami, podjeżdżaliśmy wozami ze słomą lub gałęziami, zasiadaliśmy w dołach i rowach całemi dniami, Kiełczewski okładał się słomą i przez pół dnia udawał snop zboża, — wszystko nie pomagało. Zadziwiający instynkt ostrożnych ptaków, ostrzegał je o naszych zamiarach i nigdy nad 500—600 kroków nie udało mi się zbliżyć do dropcia.

Kiełczewski ubił jednego kulą o 150 kroków z gruszki polnej, na której przez 20 godzin czatując, przesiedział, — drugiego podszedł, odziawszy się w rosochaty krzak jałowcu, — ale też potem i ta sztuka już się nie udawała.

* * *

Nikt lepiej nad mojego starego nie potrafił przyrządzić witerunku i trutek na lisy. Do witerunku służył kot starannie z cebulką upieczony.

Koty wogóle nie miały wielkiej łaski, jako dowiedzione rozbójniki ptasiej młodzieży. Dokąd tylko sięgała władza starego myśliwca, wszystkie koty za młodu jeszcze miały poobcinane uszy przy samym łbie na podobieństwo dogów i buldogów. Kiełczewski twierdził, że zimna rosa wpadająca w odkryte tym sposobem ucho kota odstrasza go od rannych i nocnych wycieczek w pola i ogrody.

Wbrew zwykłemu uprzedzeniu *charciarzy* do polowań ze strzelbą, i naodwrót *torbiarzy* do polowań par force, Kiełczewski chętnie mi towarzyszył w wyprawach moich z chartami.

Wprawdzie o *dojeżdżaniu* na spasionej staruszce bułance mowy być nie mogło, ale za to ja, mając pod sobą ognistego „Maćka‟, czyniłem to z podwójnym zapałem, tem więcej, żem sobie nigdy nie mógł należycie użyć tej rozkoszy, gdyż charty były i *ścigłe i biercze*, więc każdy pościg trwał parę zaledwie minut, a w dodotku Kiełczewski nie pozwalał nigdy na szczucie więcej jak trzech sztuk jednego dnia, utrzymując, że nie należy forsować psów i tępić zwierzyny.

Dzięki tej metodzie, charty nasze sławne były na wiele mil dokoła, i poszukiwane wielce. Po Ścigaczu następował Ścigacz, po Lotce — Lotka, dynastya białych psów, i czarnych suk, szła nieprzerwanie, wytwarzając około tych dwóch psich imion legendę nadzwyczajności.

Owa bułanka, jako dziwnie spokojne i łagodne stworzenie, była czasami powoływana do spełnienia lekkich robót w ogrodzie, po za tem zaś, oddano ją specyalnie do użytku Kiełczewskiemu.

Jeździł on na niej zawsze z fuzyą a była tak przyuczona, że strzelał z niej równie pewnie, jak stojąc na ziemi. Bułanka w razie potrzeby potrafiła sama wrócić do domu, lub całemi godzinami czekać na brzegu moczarów, bez uwięzi, na swego pana brodzącego w trzcinach.

Jednakże gorąca krew dawnego szwoleżera potrafiła w danym razie nawet z flegmatycznej staruszki wydobyć iskrę zapału.

Byłem już wówczas piętnastoletnim gimnazyastą, kiedy z racyi wielkiego polowania w sąsiednich lasach hr. R., wybraliśmy się w tamtą stronę z chartami, licząc na jakich paru lisów, które z właściwym swemu rodowi sprytem, nie omieszkają wynieść się przed naganką w pole.

Wyrachowanie patryoty sprawdziło się o tyle, że zaledwie podjechaliśmy pod las, grzmiący zdala echami strzałów, krzykiem naganki i graniem ogarów, gdy o parę staj przed nami wysunęło się z zarośli ogromne siwe wilczysko.

Był to jedyny zwierz, z którym dotąd nie miałem bliższej znajomości, — nic dziwnego więc, że bez namysłu spuściwszy charty ze smyczy, po energicznem „haź go!‟ pomknąłem naprzód jak strzała.

Lotne psy w jednej chwili dopadły wilka i dzielny mój Ścigacz impetem pierwszego uderzenia nawet go powalił. Na moment zakłębiło się i zakurzyło nad całą gromadą, — w następnej już wszakże chwili, pieski moje szkaradnie pokaleczone i sromotnie odrzucone na bok, przekonały się, że to nie zwykła jakaś sprawa.

Swoją drogą Ścigacz pomimo broczącego posoką ucha, docinał wroga po bokach, dzielnie sekundowany w tej dzielności przez okulawionego Sokoła, gdy tymczasem nietknięta dotąd zwinna Lotka, zabiegała wciąż wilkowi od

przodu doskakując mu do karku i wściekle ujadając w bezsilnej złości.

W tym porządku cała kawalkada zwolna posuwała się ku pobliskiemu bagnu porosłemu rokieciną i złotakiem, dokąd ścigany zwierz wyraźnie się kierował, przysiadając co chwila na zadzie, lub rzucając się kolejno na opadające go zewsząd na raz, zwinne a rozjadłe walką psy.

Ja tymczasem zacietrzewiony, na nic nie pomny, bez broni, z jednym tylko harapem w ręku, sadziłem w poprzek zagonów wprost na wilka.

Zestrachany Maciek zupełnie inne miał w tym względzie zamiary, i w szalonych susach starał się jak najdalej od awantury odsadzić, — gdy zaś skombinowanem działaniem munsztuka, ostróg a nawet (o hańbo!) harapa, pragnąłem go do moich przekonań nagiąć, — on z kolei wolał się wyrzec pana, który go na tak przykre sąsiedztwo narażał, i w tym kierunku wytężywszy cały swój spryt koński i siły, rozpoczął długą seryę rozpaczliwych szczupaków, niepraktykowanych dębów, wolt i boksów.

Ta walka między koniem i jeźdźcem, nie wiem, czemby się skończyła, zwłaszcza wobec rozwścieczonego pościgiem wilka, ku któremu rwałem się z całym uporem nieświadomego niebezpieczeństw dzieciaka.

Naraz mignęła mi przed oczami, wyciągnięta w galopie jak zając bułanka, Maciek, pochwycony przy pysku silną dłonią, stanął jak wryty, drżąc całem ciałem, a potężny głos huknął mi groźnie w samo ucho:

— Stój panicz do kopy dyabłów, jeślić zdrowie miłe!

Spojrzałem na starego... Inny człowiek! Łagodne siwe oczy ciskały błyskawice, gęste brwi podniosły się w groźnego marsa, a długie obwisłe prawdziwie mazurskie wąsy, nastroszyły się jak wiechy. Zaimponował mi tak przecie, żem dał pokierować i sobą i koniem; zwrócił nas obu w pole, poza siebie mówiąc:

— Teraz może panicz brykać, ile się spodoba, byle mi do psów się nie rwać, bo jakem szlachcic w łeb Maćkowi huknę!

Czułem, że dotrzymać gotów, a żem kochał bardzo mojego szalonego Maćka, więc stanąłem na uboczu, starając się uspokoić wystraszonego wierzchowca.

Tymczasem Kielczewski z fuzyą w ręku zeskoczył lekko, jakby jaki młodzian z bułanki, i złożył się do wilka. Chwilę szukał celu, w czem mu przeszkadzały psy w szalonym młynku w koło zwierza biegające, podbiegł jeszcze bliżej, wreszcie strzelił...

Wilk dostawszy w bok całą garść loftek, podskoczył, zawył i zwalił się na ziemię, kłapiąc przytem strasznemi kłami w śmiertelnych konwulsyach konania.

* * *

Innego razu wybraliśmy się także z chartami na zające nieco dalej, aż za czwartą granicę.

Poranek był prześliczny; gęsta mgła nocna tylko co opadła ku ziemi. Górą przebłyskiwało już łagodne światło słońca, dołem w oparach majaczyły sylwetki oraczy, po przez koronkową zasłonę mgły przybierających fantastyczne kształty. Z oddali, jakby gdzieś z poza świata, dolatywał wesoły gwar niewidzialnej gromady kopiących kartofle, na młodziutkiej oziminie perliła się kroplista rosa, a od świeżych podorywek biła ostra, świeża, jędrna woń matki ziemi.

Jechaliśmy w głębokiej ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu parsknięciem konia lub stukiem podkowy o ukryty kamień. Kielczewski prawdopodobnie szeptał pacierze poranne, na mnie melancholijnie oddziaływała myśl bliskiego do szkół do miasta powrotu, a może i cicha poezya układającej się zwolna do zimowego snu wiejskiej przyrody.

Mgła opadała coraz niżej. W chwili, gdyśmy wjeżdżali na wzgórze pokryte niewielkim zagajnikiem brzozowym, ostatnie jej strzępy przypadły do ziemi, a przed oczami naszemi rozlała się szeroka, lekko falista równina, pokrajana szachownicą pól, poprzetykana polnemi gruszami, gaikami olch i dębów, upstrzona kilkoma zaściankami szlacheckiemi, a obrzeżona na krańcach widnokręgu czarnemi liniami lasów.

Widok nie imponujący, nie wspaniały ale swojski i dla mnie wieśniaka z krwi i kości wielce miły. To też bezwiednie prawie wstrzymałem konia i zapatrzyłem się w tą szeroką dal promieniami słońca ozłoconą, w rannej rosie wykąpaną, od której wietrzyk wraz z nićmi babiego lata niósł aromatyczne wonie opadających liści i nieokreślone gwary ludzkich żalów i wesela.

Z zadumy wyrwał mnie głos towarzysza.

— Niechno panicz wjadzie z psami w brzezinę i da baczenie na tego to gałgana.

Spojrzałem w kierunku wskazanym i w odległości dobrych kilku staj zobaczyłem w polu między oziminami jadącego wolno na lichym mierzynie jakiegoś człowieka w szarym kubraku z dużą gałęzią sośniny w ręku. Jechał wprost na nas, a tak był zapatrzony na bok, wzdłuż mijanych zagonów, że nic o naszej obecności dotąd nie wiedział.

— Niech panicz zabawi Maćka, żeby nie rżał, i pilnuje — ja zaś temu hyclowi z boku zajadę.

Niewiedziałem, dla czego mianowicie tak pogardliwy epitet dostał się zaledwie widzianemu, a spokojnie jadącemu człowiekowi, lecz przywykłszy w polu ślepo słuchać mojego mentora, wjechałem w gąszcz i pozwoliwszy koniowi skubać resztki listków na krzewinach, bacznie śledziłem z zarośli wszystkie ruchy nieznajomego.

Po chwili zauważyłem, że wstrzymał konia, zeskoczył, cugle kamieniem przycisnął, z dużej gałęzi choiny odłamał mniejszą i zatoczywszy piechotą po oziminie dość duże koło, zatknął gałąź na zagonie, poczem wrócił do konia, wsiadł i najspokojniej jechał dalej ku mnie.

Jeszczem sobie nie zdążył zdać sprawy z dziwnego postępowania nieznajomego, gdy na przeciwnym skraju brzeziny, od podnóża pagórka, po za jeźdźcem ukazała się bułanka z Kielczewskim. Na ten widok w mojego jeźdźca jakby piorun trzasł; zerwał mierzyna cuglami, ścisnął napiętkami, a resztą gałęzi zaczął mu tak skutecznie okładać boki, że niepozorna szkapina, wywijając zaciekle długim ogonem, wyciągnęła się jak struna i dobyła z siebie takiego galopa, o jaki bym jej nigdy nie podejrzewał.

Tu już mój Maciek nie mógł pozostać obojętnym widzem. Zarżał donośnie, wspiął się na zadnich nogach i wpierw nim temu przeszkodzić zdołałem, wyskoczył z brzeziny. Uciekający jeździec ujrzawszy z frontu nowego nieprzyjaciela, ze zręcznością cyrkowego kawalerzysty w pełnym karyerze zwrócił konia pod kątem prostym i z góry na złamanie karku, pomknął miedzą ku olszynie na moczarach nad rzeczką, licząc widocznie, że pościg nie zechce ryzykować koni na kępach i wyrwach.

Wyrachowanie było dobre, a jeśli się nie udało, to tylko dzięki temu, że mój dzielny Maciek, równie jak pan jego nerwowy, mało ważąc życie i zdrowie, sadził po przekrętnej w poprzek zagonów, jakby po najgładszej drodze, i dopadł mierzyna na skraju olszyny.

Schwyciłem za cugle konia i osadziłem, jednocześnie wszakże nie zdołałem pochwycić jeźdźca, który jak kot zsunąwszy się z konia, pomknął na trzęsawisko, i skacząc z kępy na kępę nie oparł się, aż na drugim brzegu rzeczki, o jakie staje odemnie.

Tymczasem nadjechał Kielczewski zły o przedwczesne ukazanie się moje i zepsucie obławy.

— Że też z paniczem to zawdy jeno ambaras, i potrzebne było gnać „kunia“ po wertepach?

— Miałem przecie pilnować...

— A i ładnie panicz pilnował! miast czekać coby galgan sam w ręce wlaz, panicz go spłoszył i mało kunia nie okaleczył. — A ty hyclu, — krzyknął zwracając się do siedzącego spokojnie na kępie człowieka, — wyłaź mi sam natychmiast!...

— A juści! nie głupim, zeby mi pan Kiełceski usy oberwali, — odpowiedział ścigany. Przyjrzałem mu się teraz dobrze, był to nieduży, szczupły wyrostek, mogący mieć jakie 16 lub 18 lat o sprytnych oczach i śmiejącej twarzy.

— Wyłaź mi „zara,“ bo pójdę i za łeb wyciągnę!

— Niech pan Kiełceski nie idą nadarmo, bo nie dadzą rady po „kiempach skikać“ a ja zawdy ucieknę.

Kiełczewski widać uznał racye chłopaka, bo zaklął straszliwie.

— A bodaj cię angielska „frybra“ tłukła od nieba do ziemi, ty psi synu. Czekaj będziesz ty widział kunia! zabieram jak rany boskie kocham, zara zabieram do dworu

— A bo to mój kuń?

— A ino czyj?

— A przecie sołtysa ze Średnich — a to nie widzita, co je ślepy na prawy „ślip?...“

— To zkądżeś go „wzion?“ — przecie ci sołtys nie dał?

— Bogać by dał — „wzionem“ z pastwiska, sołtys dziś na sądach póki wróci, kunia odprowadzę.

Dopiero teraz spostrzegłem, że koń nie był nawet okiełznany, a tylko miał pęto w pysku zamiast uzdeczki sznurkiem po za uszami zawieszone.

— A jakżeś ty „kondlu“ śmiał cudzego kunia wziąć i tak zganiać, — wybuchnął znowu Kiełczewski.

—Co mu ta bendzie, a sołtysowi odrobię, — odparł wcale nie zaambarasowany chłopak. — A pon Kiełceski, — ciągnął dalej, — zamiast wydziwiać nademną, lepiej by pilnował swoi wnuki, by „dzieuchą“ byle kto nie poniewierał.

— Co ty „seekasz,“ jakiej wnuczki?

— A Weronki Paluchówny, co ostała po nieboszczyku Jantonim w Kopkach! Toć przecie rodzona wnucka pona Kiełceskiego i „gront“ ma, a „co tego“ ją macocha, ca „je“ prosta „chamka pierze“ i do miasta na służbę wyprawuje.

— A ty zkąd wiesz o tem?

— Przecie i ja z Kopków urodzony — a bo to nie wita? Jezdem ten Franek, co to po Biskupie, co to nasza izba zara od brzyga.

— A twoi ojcowie żyją?

— Co mają żyć, „pomerli,“ tera stryjek ten Kuropatwa „siedzi w izbie,“ a jo jezdem przy nim.

— A z kim, żeś to się wybrał na „upatry?“

— A ze stryjkiem i z Kuternogą.

— I gdzieżeście byli?

— A precz dookoła na Średnich, na Zielonych, na Kramkowie, precz, precz od boru.

— I siłaś upatrzył?

— „Dziesiąciu!“ — na samych średnich aż „styrech!“

— Dobrze! słuchaj chłopak... ja ci ten raz daruję, ale pamiętaj sobie, że jak cię jeszcze raz na upatrach schwycę, to ci uszy poobrywam i będziesz jak „siełma“ przez uszów po świecie chodził, bo to wstyd, zeby ślachcic strzelał do kota w kotlinie, to je świństwo, chamska rzecz...

— Kiej stryjek każą...

— Już ja temu stryjkowi sprawie takie polowanie, co jemu się odechce i upatrów, i włóków, i wszystkich tych „śtuków.“ Pamiętaj chłopak, żeby cię więcej moje oczy nie widziały! Jadziem paniczu!

Dopiero pod koniec powyższej rozmowy zacząłem się domyślać, do jakiej kategoryi przestępców należał Franek.

Był on awangardą grasującej w tej okolicy kompanii rabusiów zwierzyny. Kompanii takich jest dużo na szlacheckiem, — składa się zaś każda najmniej z trzech niezbędnych osób, mianowicie z patryjoty, pana i dziada.

Jadący zwykle konno na parę wiorst przodem specyalista od upatrywania zajęcy, ujrzawszy kota przyczajonego w kotlinie „objeżdża“ go lub obchodzi i w pobliżu jako wskazówkę zatyka gałązkę choiny. Ciągnący w jego ślady „pan“ posiadacz lichej fuzyi najczęściej pojedynki i specyalista od strzelania, z ukrytą pod sukmaną bronią, śledzi za gałązkami i zabiwszy zająca, spokojnie idzie dalej. Wreszcie „dziad“ z workiem na plecach niby to po prośbie, znacznie w tyle za panem idący, zbiera ubitą zwierzynę.

Każdy z kompanii, widziany oddzielnie, ma pozór zupełnie niewinny, i dzięki tej manipulacyi, taka kompania eksploatuje bezkarnie przez cały prawie rok, grunta włościańskie i dworskie obszary. Kompania nie ogranicza się tylko samemi zającami. Owszem wszelakie ptactwo ma nie mniej strasznego nieprzyjaciela, tępiącego niemiłosiernie ród pierzasty za pomocą sideł, lepów, potrzasków i t. p. sztuczek.

Kiełczewski traktujący myśliwstwo jako szlachetny sport, był nieubłaganym prześladowcą takich kłusowników i dzięki temu w naszej okolicy istniała jedna zaledwie kompanijka, z owym Kuropatwą na czele, a i ta siedziała o tyle cicho, żem nawet o jej istnieniu i sposobie działania dotąd nie wiedział.

Jadąc tropami Frankowego mierzyna wkrótce spotkaliśmy i owego Kuropatwę, któremu Kiełczewski przedewszystkiem odebrał flintę — a następnie wykropiwszy plecy smyczą, zapowiedział, że gdy go przydybie jeszcze raz „na upatrach“ to zamknie na tydzień do chlewa „na żołędzie jako nieczyste bydlę.“

Ten sam los spotkał „dziada,“ którym był wspomniany wyżej Kuternoga, a którego worek wraz z sześciu ubitemi zającami, wzbogacił nasze trofea.

Dowiedziałem się przy tej okazyi, że tak Franek jak Kuropatwa i Kuternoga byli szlachtą. Nienałtowskimi z rodu, którzy drogą koligacyi odbiwszy się od głównego pnia w pobliskich Nienałtach — Doniczkach, osiedli między Kiełczewskiemi w Kiełczach — Kopkach.

Dowiedziałem się także, a raczej domyśliłem że opowieść Franka o niedoli sieroty Weroniki Paluchówny żywo obeszła mojego przyjaciela, bo mruczał do siebie, groźnie ruszał brwiami, szarpał wąsy, a wreszcie po długiej wewnętrznej walce, skierował naszą drogę na starannie dotąd omijane Kopki.

Nigdy więcej jak w tej wycieczce nie imponowała mi niewytłomaczona powaga, jakiej zażywał Kiełczewski u okolicznej szlachty. Przyłapani awanturniczy Kuropatwa, równie jak na wpół pijany Kuternoga, z pokorą znosili wymiar sprawiedliwości na swej skórze, niepróbując nawet żadnej opozycyi.

Zkąd płynęła ta przewaga? Czy była wynikiem tradycyjnego poczucia patryarchalnej władzy głowy rodu, czy ukorzeniem się przed moralną siłą dawnego legionisty, który był chlubą wszystkich Kiełczewskich, i ideałem wszystkich zaściankowych nemrodów? — Nie wiem! Dość, że istniała, i że nie tylko butna szlachta, ale nawet taki nieletni urwis Franek korzył się przed nią.

(Dokończenie nastąpi.)